





ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrzone, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty czwarty.

Wydawnictwo  
J. F. KRASZEWSKIEGO

# KOMEDJANCI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. L. Kraszewskiego.

..... wszyscy na teatrze...

Ja djable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,  
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi...

FREDRO. Przyjaciół.

To tus mundus agit histrioniam....

PLAUTUS.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Autora.

~~~~~  
**Tom IV.**  
~~~~~

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha 1 10.

1 8 7 3.

W A R S Z A W A

W księgarni Michała Glücksberga.

<http://rcin.org.pl>



---

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.

<http://rcin.org.pl>

Położenie znanych nam z poprzedzającego opowiadania osób naszej powieści, wcale nie było do zazdrości. Sylwan szczególnie, któremu na chwilę zaświtała wielka nadzieja, szalał prawie widząc ją zachwianą z przyczyny wszystkim im nienawistnego Wacława; nie krył się też wcale ze swoim dla niego uczuciem. Ujrawszy go w ulicy jadącego z baronem, zacisnął z gniewu pięści i powrócił, słowa nie rzekłszy do Cesi, równie zniecierpliwionej, gniewnej, a dla pokrycia wrażenia uskarżającej się tylko na silny ból głowy. Z siebie sądząc Sylwan był pewien, że Wacław poświęci Franię i miłość swą dla niej pięknej Ewelinie i jej milionom, nie pojmując nawet by inaczej być mogło, by się urokowi grosza oprzeć było podobna. Cesia też straszniejszą w niej od Frani widziała współzawodniczkę, i krew jej uderzała do głowy na myśl, że się nad Wacławem nie pomści. Chciała go mieć u nóg swoich, żeby ze wzgardą odepchnąć, a tu ostatnia nadzieja z rąk się jej wyslizgiwała. Hrabina Eugenia dość obojętnie przyjęta w stolicy, nie mogąc resztą swych wdzięków i słodkich wejrzeń zwabić nikogo, zgazona przez córkę we własnym domu, opuszczona przez mężczyzn i zaprasza-

na już na tę nieszczęśliwą kanapę, na której starsze panie ziewając zwykły się bawić plotkami, rada była co najprędzej uciekać do Denderowa, gdzie choć zrzadka mignął się jej osatni z wielbicieli, rotmistrz Powala, zawsze wierny, zawsze czuły, ilekroć był przy niej, i sumiennie do upadłego odgrywający rolę kochanka.

Nie lepsze było położenie Wacława, który bez winy własnej, zbiegiem okoliczności, czuł się jakby pochwycony żelaznem kołem maszyny, mającej go zgnieść nielitościwie. Cesia z jednej, Ewelina z drugiej strony dręczyły go, ta nieustannem przypomnieniem pierwszej miłości niepokojącym serce, druga dziwnem swem przywiązaniem do cienia, który przedstawiał. Sylwan przywiedziony do rozpaczki nie krył się ze swoim gniewem i urazą, otwarcie napadał na niewinnego Wacława, czyniąc mu bolesne wymówki. Cesia szydziła z niego i z baronówniej nielitościwie, hrabina Eugenia udawała, że go nie widzi i znać go nawet nie chciała.

Powróciwszy od Hormeyera, znużony tą sceną, w której udział brać musiał, przejęty widokiem żalu prawie obłąkanej wdowy, którego ukoić nie umiał; nie pewien siebie, drżąc o serce własne, Wacław począł głęboko rozmyślać co mu czynić wypadało, jak wyjść z tej próby tak ciężkiej. Jedną była najprostszą drogą ocalenia i obowiązku: wszystko porzuciwszy uciekać. Nie widział innej, i zostawiony sam sobie, chwycić się jej musiał. Rzucając więc interesa majątkowe na uproszonego prawnika i bankierów, nie zatrzymując się dla potrzebnych do domu sprzętów, które komuś kupić, wybrać i wysłać polecił, Wacław kazał pakować i nie żegnając się z nikim, tejże nocy uciec postanowił, listami tylko tłumacząc się z przyspieszonego powrotu.



Wszystko już było przygotowane do drogi, gdy list z Wulki, z niecierpliwością oczekiwany, nadszedł nareszcie i przynaglił go jeszcze do wyjazdu, nowym uderzając ciosem. List ten kilka tylko słów oblanych łzami zawierał. Frania go pisała. Rotmistrz, stary Kurdesz już nie żył. Sierota pozostała sama na świecie i wyciągała ręce ku opiekunowi swemu. Łzy rzuciły się z oczu Waclawa, wybiegł jak szalony wołając o konie z niecierpliwością, nieprzytomny prawie, zapomniawszy naraz wszystkiego co za sobą zostawiał. Nie miał czasu ani słowem pożegnać Sylwana, ani się wytłumaczyć baronowi. Przejęty jedną myślą wielkiej swej straty, położenia Frani, jej boleści i osierocenia, rzucił się w powóz i przebył przestrzeń rozdzielającą go od Wulki, nie widząc nic, nie umiając porachować czasu, nie pojmując co się z nim działo, wyglądając tylko rychło-li znajome drzewa się ukazą i płacz go zamiast radości powita.

Było początek zimy: z hukiem, po grudzie obnażonej wtoczył się powóz w dziedziniec, a żywa dusza nie wyszła powitać przybyłego.

W lewo z okien otwartych pokoju buchało światło od katafalku, cisza panowała we dworze; Waclaw wszedł i przykląkł na progu. Już w trumnie swej dębowej spoczywał rotmistrz w mundurze kawalerji narodowej, w którym pogrzebać się kazał; siwe jego wąsy okrywały zapadłe usta, a spokojne czoło otoczone włosami srebrzystemi zdala marmurową świeciło białością. Wyraz jego twarzy dowodził, że zmarł bez męczarni, że położył się *jako ktoś dojrzały*, wedle słów poety, że usnął dopełniwszy żywota swego, z nadzieją lepszej wysłużonej sobie przyszłości. Ręce jego na piersiach ści-

skąły krucyfiks . który w sercu miał za żywota; rękojeść starej karabeli, wiernej towarzyszki, której zostawić po sobie nie miał komu, bo nie była już potrzebną, ukazywała się z lewego boku; pod szyją na białe obrazek Matki Boskiej, cząstka zbroi, dziś tylko jako pamiątka walki, zgięta kulami co się o nią obily, przypięta była starcowi. Wacław modlił się jeszcze płacząc, gdy uczul jak rąk dwoje spoczęło na jego ramionach, cichy wykrzyk płaczliwy obił się o uszy strwożone, i osłabła Frania, zemdlona, upadła przy nim na ziemię.

Nadbiegła za nią poczciwa Brzozosia, czerwona od łez i znużenia, i z jej pomocą odnieśli cucąc biedną sierotę do jej pokoiku. Otworzyła oczy, ścisnęła rękę Wacława, chwytając ją jak tonący chwytą ułamek rozbitego okrętu, i zawołała ze łzami:

— Tyś mi ojcem, tyś mi wszystkim! A! nie opuszczaj mnie Wacławie, on ci mnie polecił sierotę, sierotę!

I zaniósła się od płaczu.

Brzozosia się trzeźwić ją, pocieszać i guiewać się razem poczęła, żal jej tak był różny od boleści córki.

— Umarł rotmistrz — zawołała — to i ja go żałuję, ale to porządek ludzkich rzeczy... Cóż, myślałaś że już na wiek wieków żyć będzie? No! to i my pomrzemy. Miejcież rozum; i Wacław, coby miał jej dodać odwagi, sam beczy. No! cóż na to poradzić, już cię go nie wskrzesim.

Nikt gderzącej wedle zwyczaju Brzozosi nie słuchał, młodzi przytuleni do siebie, w sobie samych szukali pociechy. Stara przyjaciółka tymczasem, nie zważając na strapienie, już im co prędzej jeść i pić gotowała, lamenta przerywając dyspozycjami, rozkazy mieszając

z narzekaniem.

Tak upłynął ten wieczór pamiętny, długo się w późną noc przeciągając, bo Brzozosia wzięła później Wacława do siebie i opowiadać mu poczęła ostatnie chwile starego konfederata.

Rotmistrz prawie nie chorował; do ostatniego dnia chodził, gospodarzył, krzątał się i ani myślał kłaść w łóżko, choć mówił że się czuł jakby zmęczonym, coś nie swój i osłabły. Ostatniego wieczora zażądał spocząć trochę wcześniej, kazawszy sobie zgotować rumianku, który był zwykłym jego lekarstwem. Już go widać jakiegoś objęło przecucie, bo żegnając się z Franią pobłogosławił ją, i chłopakowi, co mu usługiwał, kazał się położyć przy sobie. O północy zbudził się, uskarżając że go coś ciśnie w piersiach; zawołano córki i Brzozosi. Rotmistrz podniósł się, ale z tem jasnowidzeniem zgonu, które dawniej tak często śmierć poprzedzało, wesoło prawie poprosił o księdza, po którego natychmiast wysłano. Napróżno starano mu się to wyperswadować, dawał mówić co chciano, ale swoje robił. Zadysponował jakimi końmi i kto po wikarego pojedzie, jaką ma wziąć bryczkę, czem ją zasłać, a sam modlić się zaczął i resztą rozporządzać.

Corazto mu coś na myśl nowego przychodziło, o czem obawiał się, aby w poplochu nie zapomniano. Jak to dawniej u wszystkich prawie ludzi pełnej wiary bywało, u rotmistrza też do tej wielkiej uroczystości dnia śmierci wszystko stało w gotowości oddawna. Sucha dębowa trumna pełna chmielu stała w lamusie na górze, było w kufierku odłożone odzienie jeszcze z czasów konfederacji, szabla, pieniądze i świece na pogrzeb, na msze, dla księży i kościołów.

— Kłopotu mieć nie będziecie ze mną — mówił rotmistrz — bo to się człowiek nie od dziś na tę podróż gotował. Oto za tym kluczykiem jest pieć ruloników z pieniędzmi, w kufrze znajdziecie światło jarzące, w skrzyni jest żółte dla bractwa. Do karawanu zaprządź stare moje konie, tylko żeby mi ten hultaj Hryćko w dyszel deresza się nie ważył zaprzęgać, bo jakbym widział, w bramie cmentarzowej się zatnie i kłopotu narobi, a narowisty, że go nie przeprzeć.

Mówił tak długo, szczegółowie rozporządził wszystkim, i z przytomnością zadziwiającą wśród modlitwy cichej, coraz to się ze słówkiem jakimś odezwał.

— A panna ciwunówna — rzekł do Brzozosi — znajdziesz tam w papierach dowód, że jej serce dla nas i przyjaźń potrafił ocenić.

— At! nie plótlbyś panie rotmistrzu! na co to śmierć wywoływać, dajcież pokój! — I zaniósłszy się od płaczu, który napróżno utamować chciała, Brzozosia wybiegła szlochając. Stary po chwili wezwał ją znowu.

— Moja panno ciwunówno, poszciecie zaraz po Wacława, niech przyjeżdża, niech się żeni, na żalobę nie zważając, ja rozgrzeszam i nakazuję. Razem ją kiedy zechcą nosić będą, a sierocie nie tak ciężkie może będą pierwsze chwile rozłączenia. O los Frani jestem spokojny. Bóg łaskaw. A na stypie — dodał — nie żalujcie dać starego miodu; dla dostojniejszych ten węgrzyn co z lewej strony w piwnicy; tylko nie wiele, umiarkowanie, bo go szkoda, mało po dukacie butelka.

Mówił tak stary aż do przybycia księdza, z którym po odbytej spowiedzi rozmawiał jeszcze, gdy go drzemka napadła; położył się więc jak do snu, czując się być znużonym. Wszyscy się rozeszli, zasnął spokojnie,

ale na wieki; nazajutrz zimne już tylko znaleziono zwłoki.

Żal Frani był okropny, było w nim coś rozpacz- nego, straszliwego, czego nawet przestrogi osób pobo- żnych, napomnienie księży, lzy i czas uśmierzyć nie mogły. Była jak podróżny, co nagle znalazł się bez towarzyszków w głuchej pustyni sam jeden. Wszystkie uczucia na chwilę utonęły w tej jednej wielkiej boleści. Waclaw znalazł ją jeszcze nieukojoną, bezprzytomną, i już odstąpić jej nie mógł na chwilę, obawiając się o zdrowie, a nawet o życie ukochanej.

Gdy na cmentarz do Smolewa wywieziono ciało rot- mistrza, a jego izdebka i dworek pozostały pustką, była chwila znowu, w której Frani ciężko przychodziło się z nowem życiem oswoić, a uciec nie miała dokąd. Wa- cław musiał przyspieszyć wesele, stosownie do woli zmarłego ojca. Tymczasem nic nie było przygotowanem w Palniku, nigdzie nie mieli stosownego domu, i gdy- by nie Brzozosia, Waclaw byłby przez względy ludzkie smutne swe przeciągnął jeszcze wesele. Ale panna ci- wunówna chwyciwszy się słów nieboszczyka, rada że ją choć po śmierci popierał rozkazem wyraźnym, jak się zawięła około obojga narzeczonych, zmusiła ich niejako dać na zapowiedzi i pojechać do Smolewa po błogosławieństwo. Nie zapraszano nikogo, nie wezwano gości, nie było wcale starego obrzędowego przyjęcia. Waclaw tylko uznał stosownem w wigilią pojechać do stryja.

Hrabia już wiedział o wszystkim, i prawdę powie- dziawszy, śmierć starego Kurdesza nigdy bardziej w po- rę dla niego przyjść nie mogła, bo interesa i należność dwóchkroć-sto-tysięcy na Denderowie spadały na Wa-

clawa, a z nim lżejsza i lepsza była sprawa niż ze starym szlachcicem pokornym, grzecznym, ale twardym do nieukaszenia. Choć więc rad w duszy, że mu taki ciężar los z ramion zdejmował, Zygmunt-August witając Waclawa, otarł łzę z suchych oczu, wspomniawszy pana rotmistrza.

— A! cóżeśmyto za stratę ponieśli! — zawolał — rodzina, powiat, kraj niemal! Jeden z tych szczątków starych czasów, zabytek i świadek przeszłości! A tak zacny człowiek! Mój Boże, co to za szkoda! I umarł tak nagle! Nikt go pewnie nademnie szczerzej nie oplakuje.

Waclaw milczeniem przyjął ten panegiryk pogrzebowy, a hrabia natychmiast przechodząc na inny przedmiot, począł go troskliwie badać o Sylwana, o jego projekta, o barona. Niewiele mógł mu powiedzieć przybyły, niechcąc szkodzić kuzynkowi, którego staranie o młodą wdowę zdawało mu się marzeniem. Niewiele znowu wiedział o baronie, zaledwie wnioskami co do jego położenia mogąc zaspokoić ciekawość hrabiego.

— Przyznam ci się, mój Waclawie, — dodał hrabia w końcu — niebardzo kontent z Sylwana: ten baron tajemniczy, te jego bogactwa, ta córka, która się pokazuje wdową po lichu wie jakim szoldrze, to mi śmierdzi. Wołałbym coś prostszego a swojego, w czemby się można jaśniej jakoś rozpatrzyć. A Cesia, a hrabina, co tam porabiają?

— Kupują — rzekł Waclaw.

— Były u tego barona?

— Były.

— I on u nich?

— Z córką. Sylwan zresztą szalenie zakochany,

a wdowa...

— A wdowa w nim?

— Dotąd nie zdaje mi się, zanadto jeszcze świeża pamięć pierwszego męża.

— Ha! spuścił się na swój rozum, mnie nie słucha; niech robi sobie co chce, ja w tem nic dobrego nie przewiduję.

Po chwili odwrócił się nagle hrabia, a pomyślawszy nieco, rzekł do Wacława:

— Oto co to układy i zamiary ludzkie! — Ten poczciwy rotmistrz, niedawno przed tą ostatnią swoją chorobą uczynił był ze mną umowę niemal skończoną, tylkośmy jej nie spisali, teraz wszystko w łeb wzięło.

— Umowę? jaką? — zapytał Wacław.

— Wiesz zapewne, żem mu tam winien sumkę dwóchkroć-stu-tysięcy. Narachowano to Bóg wie jak, nadto zawsze byłem powolny. No! ale koniec końcem, jest tam tych dwakroć. Rotmistrz nieboszczyk uparł mi się za to wziąć wioskę... znasz ją, *Ciemierna*, między Wulką a Palnikiem. Nie radbym był jej pozbywać, bo mi potrzebna: najlepsza wioska w kluczu; ale dla niego, jak zaczął mnie prosić, zrobić to musiałem. Teraz, chwała Bogu! jestem wolny od umowy, chybabyś...

Hrabia nie dokończył, jakby się zanadto wygadał.

Wacław zrozumiał doskonale, że tu szło o pozbycie się długu stratą niewartej go wioseczki; w tej chwili rzecz to dlań była całkiem obojętna, i odpowiedział też od niechcienia:

— Wszakże żadnej umowy nie było.

— Zapewne że nie było na piśmie, ale u mnie słowo święte! Będzie to zależeć od ciebie Wacławie; jeśli

mnie pociągniesz do spełnienia układu, gotów jestem, jeżeli uwolnisz, rad będę.

— Uwolnię, panie hrabio, uwolnię, — rzekł synowiec.

— Wprawdzie — dorzucił Dendera — choć przeciwko sobie mówię, muszę ci się przyznać, bo tak każe sumienie, że stracisz na tem wiele. Nieboszczyk w sprawach pieniężnych był kuty, ho! ho! w kaszy go nie zjadł pierwszy lepszy. Dobrze wiedział, że taka posiadłość, łącząca Palnik twój z Wulką, była złotem jabłkiem. Ciemierna, choć mała wioseczka, ale zapytaj czego tam brak? — las, łąki, pola... jakie pola! Woda, staw, sto dusz, ale jak się mają ludzie! Po sto dukatów dusza na takie położenie nie drogo.

Wacław milczał. Trapiło to hrabiego, który się zapalał, usiłując wlać w niego przekonanie o potrzebie nabycia Ciemiernej, wartującej zaledwie połowę tego, ile wziąć za nią zamierzał. O czem innem myślał młody człowiek okryty żalobą po świeżej stracie, a nazajutrz rozpoczynający nowe życie, i nie słyszał połowy tych pięknych rzeczy, które hrabiemu tak niepowsięgnionym potokiem z ust płynęły.

— Nie mówmy o tem — rzekł w końcu Wacław — nie przyjechałem tu w interesach, zrobię jak dla was będzie dogodniej, panie hrabio, bądźcie pewni. Sierota, przybyłem po dobre słowo i życzenie głowy rodziny na ślub jutrzejszy.

— Jutro? jutro się żenisz? — porwał się hrabia ścisłając go — niechże Bóg błogosławi. A mnie na wesele nie prosisz? Bodaj cię!

— Nikogo, panie hrabio, wesele to żalobą okryte, na świeżym jeszcze grobie. Nie chcę oczu obcych, któreby mojej Frani przykra się może zdawały wymówką.



— No! jak chcesz, jak ci się podoba. Piękny zrobiłeś wybór, szczęście niechybne; życzę wszelkiego dobra, najdłuższych lat i liczego potomstwa! dodał z uśmiechem. — Ale mi proszę żonę przywieźć po ślubie.

Tak się skończyły te ceremonialne odwiedziny, z których nie tracąc czasu stary wyga korzystać już chciał, usiłując Wacławowi narzucić Ciemiernę za dług, który mu ciążył. Rachował on, że zbywszy się rotmistrzowskich dwóchkroć wioseczką, bez której klucz Denderowski zawsze kluczem mógł zostać, choć z wielką biedą i wykrętami jeszcze kryzys kontraktowe mógł przebyć, nie zrzucając maski i odgrywając dalej rolę pana. Rotmistrz Powąła obiecywał mu poczekać, starsi wierzyciele kontentowaliby się nadpłatami, Farurej ani mógł pisać o to, co dał do współki na woły i gorzelnię. Oprócz tego hrabia miał zamiar około dwunastego stycznia zachorować śmiertelnie i nie powstać z łóżka aż po terminach wypłat; złożyć się chorobą, komisarza i plenipotentą, jeśliby wierzyciele krzyczeli bardzo, dla ich uspokojenia zwałając na nich winę, odprawić, i tak przeciągnąć rok jeszcze byt, do którego przywyknął. Liczył prócz tego na ożenienie Sylwana i kapitały synowej, na Cesię i jej męża, na Wacława, na wszystko do czego jakkolwiek dawał się przyczepić rachuneczek, a postanowił starym trybem ogromnie miną nadrabiać.

Rozpuszczał już wieści, każdemu pod największym zwierając się sekretem, że Cesia wychodzi za Farureja, który mu zarząd całej swej fortuny i interesów ma powierzyć, nie czując się do nich zdającym; że Sylwan żeni się z kuzynką księżąt Schwarzenbergów, po której bierze milion reńskich w samych klejnotach, nie licząc ogromnych dóbr w Czechach itp. Ludzie zawsze są ła-

twowierni, i powiedziawszy sobie, że w każdym kłamstwie jest prawdy choć trochę, zaczęli znowu potrosze być cierpliwi, rachując na wielkie nadzieje hrabiego.

---

Porankiem zimowym, jasnym i łagodnym, powóz Wacława stanął przed dworem w Wulce, miał on zawieźć młodą parę do kościółka w Smolewie, gdzie ich już z błogosławieństwem czekał wikary. Był to dzień powszedni, nie spodziewano się nikogo w miasteczku prócz kilku ciekawych i dziadów, co u drzwi siadywali, a narzeczonym jedna towarzyszyła Brzozosia.

Dla niej to była uroczystość prawdziwa: krzątała się noc całą, łąjała cały ranek, ludziom nie dała zmrużyć oka, narzekała, śmiała się, płakała, klaskała w dłonie, kiedyniekiedy westchnęła za duszę rotmistrza, ale raz go już pogrzebawszy i otarłszy szczere łzy żalu, teraz cała zajęła się szczęściem, a nadewszystko kuchnią państwa młodych.

Wystrojona niezmiernie wyszła razem z niemi na ganek, a gdy jej oboje do nóg upadli prosząc o błogosławieństwo, rozplakała się raz jeszcze, wycalowała ich i przynagliła, żeby coprędzej wsiadali do powozu. Jeszcze się może obawiała, by co temu weselu tak upragnionemu nie stało na przeszkodzie; a w myśli prześcigając już i ślub i kilka lat po ślubie, zajęta była wychowaniem dzieci, których wyglądała niecierpliwie.

W milczeniu przebyli tę drogę do Smolewa, tak im dobrze znajomą, a tak smutną dziś i świeżą jeszcze posypaną pamiątką; jedna Brzozosia tylko może odpędzając żałobne myśli, śmiała się i cieszyła czystą radością poczciwego serca, umiającego zgadzać się z wolą

Bożą i filozoficznie przyjmującego wszystko, czem ziemia karmi swe dzieci.

Ile razy wprzód Frania zachmurzyła się wspomnieniem ojca, panna ciwunówna gromiła ją bez ogródki:

— Ale dajże pokój tym łzom, dopóki to tego będzie? Pomodlić się ślicznie, pięknie, popłakać, otrzeć łzy i dalej w drogę. Pan Bóg nas stworzył do pracy, nie na szloch. Ot jest, chwała Bogu! czem się cieszyć, czego używać, za co Bogu dziękować; to lepiej o tem myśleć, niż psuć zdrowie i wyplakiwać oczy.

Często też temi prostemi wyrazy, choć nie pocieszyła, odwróciła przynajmniej od serca boleść ugniatającą go, widokiem swej dziwnej rezygnacji.

Obok kościółka świeżo usypana wysoka mogiła rotmistrza, której późna pora ani odarniować, ani ogrodzić nie dozwoliła, zatrzymała narzeczonych; poszli do niej po zimne błogosławieństwo zmarłego, a ciwunówna za nimi, wcześniej przysposobiwszy fiaszeczkę na przypadek gdyby Frania omdlała.

Rozplakała się biedna sierota, ale Wacław był przy niej i łzami oblaną wprowadził do wiejskiego kościółka. Pusto w nim było, bo dzwonek dopiero na mszę wołając odezwał się, gdy powóz Wacława się ukazał; kilku ubogich, kilku mieszczan mieli być świadkami obrzędu.

Choć szczerze się modląc, panna ciwunówna wzdychała serdecznie, i uraza do nieboszczyka rotmistrza, któremu w duchu robiła wymówki, przerywała jej modlitwę.

— Tfu maro! — mówiła w sobie — ani się pozbyć tych myśli. Królowo Niebieska! Gdyby był, Panie świeć nad jego duszą, nieboszczyk nie dziwaczył, byłoby przynajmniej wesele się odbyło po ludzku... A to... witaj Pani

świata... A to po niemiecku: cicho, bez żadnej gali, jak gdyby nas na to nie stało... Zdrowaś Marja... Zdrowaś Marja... ani gości, ani obiadu, ani muzyki: co to za wesele?... nowomodne, farmazońskie jakieś... Panie odpuść... Witaj Królowo... Jeszczem takiego wesela nie widziała... i w żałobie... No! cóż robić, cóż robić?

Panna ciwunówna poczęła szeptać szybko pacierze, ażeby przemódz w sobie chętkę do gderania; ale nie było na nią hamulca, i Bóg wie jak się tam modliła, choć pewnie Bóg przyjął i taką pocziwego serca prośbę. W zakrystji podpisywano księgi, a po mszy świętej białą stulą związał wikary nowożeńców, krótką i czulą przemową polecając w imieniu rotmistrza sierotę opiece temu, który się już zwał jej mężem.

Niedługo zabawiwszy w Smolewie, bo Brzozosia nigdzie nie lubiła się zatrzymywać, i zawsze niespokoiła się z podróżą i z powrotem, państwo młodzi siedli do powozu. Waclaw coś szepnął do ucha woźnicy i konie żwawo ku Wulce pobiegły. Nie było umowy dokąd jechać mieli, Brzozosia nawet w Wulce wystąpiła była z obiadem, ale Waclaw kazał zawrócić wprost do Palnika, przez tych kilka tygodni dom urządziwszy na przyjęcie Frani. Słowa o tem nie mówił, bo chciał smutek jej miłą przerwać niespodzianką. Ciwunówna, której szło o zadysponowany chróst i muss, o poledwice kupioną umyślnie i zupę z winem, bardzo się zafrasowała, gdy zobaczyła że ich wiozą do Palnika.

— A toż to co? — zawołała — a to co? dokądże ten Jakób pojechał? czy zwarzował?

— Do Palnika — rzekł Waclaw, spoglądając na Franię.

— Także się domyślił! nie wiedzieć po co! A też

obiad w Wulce zadysponowany! To sobie jutro pojedziecie kiedy zechcecie, ale dziś dalipan nie dam.

— Kochana panno ciwunówno, jest odiad i w Palniku.

— Ale poledwica!

Wacław mimowolnie się rozśmiał.

Konie tymczasem szły żywo, a Brzozosia o mało się nie rozplakala, zobaczywszy że jej występ cały się zmarnuje. Wacław w ręce ją całował, prosząc żeby mu się nie przeciwila. Poczciwa ciwunówna uległa mu wzdychając, rozczulona, ale w głębi jej serca lekką zachowując urazę.

— No! zobaczymy, z jakim on obiadem wystąpi.

Po chwili minawszy dworek w Wulce, na widok którego jeszcze raz westchnęła Brzozosia, drożyną boczną zbliżyli się do Palnika. Od czasu jak go widziała Frania i jej towarzyszka zmienił się im do niepoznania. Dwór, zasłoniony wprzód mizernymi budowlami, które pozrucano, teraz wśród drzew białiał jak nowy, odnowiony w istocie i na śliczne wiejskie przerobiony pomieszkanie. Wacław z wielkim kosztem i smakiem przesypał całkiem stare domostwo, ubrał, okrył na nowo i uczynił zeń ledwie nie książęcy pałacyk, ledwie nie wille bankiera, który nie patrzy co ona kosztować będzie, byle nią zaćmił swych współzawodników.

Cacko to było, a Frania i Brzozosia, co mało światła widziały, i nie pojmowały jak za grosz wszystko można i prędko i pięknie wykonać, zdumione krzyknęły obie nie poznając Palnika. Trzymano przed niemi w tajemnicy to co się tam działo. i niespodzianka tak się udała, że ciwunówna stając przed gankiem, aż się przeżegnała.

— A toż co? a toż co? Jezu Chryste! czy czary, czy

nieczysta siła, czy sen?! A kiedyż się to zrobiło? Chyba to nie Palnik! Gdzieżeśmy zabłądzili?

Frani dwie łzy wdzięczności płynęły z pięknych oczu, a twarzyczka jej zbliżyła się do zarumienionego lica Waclawa, i pierwszy serdeczny pocałunek związał ich usta niewinne.

W ganku spartym na słupkach żelaznych i obwiedzionym wytworną kratką z żelaza, czekała już na panią czeladź cała, a najstarsza z niewiast podała jej klucze domu, sól, chleb i cukier, godła zajęć i wróżby przyszłości. Brzozosia z otwartymi usty szła za młodą parą, i choć niesłychanie zdziwiona, przestraszona niemal, powtarzała jednak po cichu:

— Jak sobie chce, a mogli dziś jednak na moją połędwicę pojechać.

Zewnątrz już domek był do niepoznania, ale wewnątrz największy w nim panował przepych, na widok którego Frani się jakoś przykro a Brzozosi smutno zrobiło. Obie przywykłe były do drewnianych stołków, do prostych stołów, do wymytej świeżo podłogi, i stąpały nieśmiało po kobiercach, woskowanych posadzkach, wśród zwierciadeł, obrazów, posążków, kwiatów, ze zdumienia w zdumienie.

— Chyba to miliony kosztuje! — mówiła Brzozosia ruszając ramionami — a! mój Boże, ten człowiek się stracił ze szczętem!

Waclaw oprowadzał ich dokoła, pokazywał Frani wszystko; nareszcie otworzył drzwi i okrzyk zdumienia wyrwał się z ust pani młodej, która rzuciła się mężowi na szyję. Brzozosia wspięła się na palce, i przez ramiona wychowanki spojrzawszy, krzyknęła sobie:

— A to czary!

Prosta to była przecie izdebka, zupełnie podobna do tej, którą Frania w Wulce zamieszkiwała: ten sam sprzęt w niej, okna tak samo na podwórko i ogród zwrócone, nawet naprędce przyniesiono jej krosienka, jej książki, jej kwiateczki, i jeden tylko wspaniały hebanowy klęcznik z krucyfiksem z kości słoniowej, jak obcy przybysz wstydzić się zdawał swojej wytworności wśród prostych sprzętów. Na ścianie, nowe zdziwienie, wisiał portret rotmistrza w mundurze kawalerji narodowej, choć po śmierci już i tajemnie, ale tak szczęśliwie zrobiony, że obie kobiety patrząc nań się rozplakały.

— A też drzwi dokąd prowadzą? — spytała panna ciwunówna, wskazując na proste zamknięte jeszcze wnijscie w tem właśnie miejscu znajdujące się, w którym były w Wulce drzwiczki, łączące mieszkanie Brzozosi z pokojkiem Frani.

— Niech panna ciwunówna zobaczy — rzekł Waclaw z uśmiechem.

Na ciekawości nie zbywało Brzozosi; poskoczyła więc, pocisnęła kłankę i ujrzawszy swoją, ale swoją własną izdebkę, w której już i kłębuszki, i motowidło, i wszystkie stare swe graciki znalazła, znowu w krzyk:

— Cuda! cuda!

Nuż ścisnąć Waclawa, któremu ta pocziwa radość nagrodziła sowiec trud podjęty i starannie zachowywaną tajemnicę.

— A kłębuszki, to chyba poprzenosili z Wulki — zawołała po namyśle — dalipan poprzenosili. Czy tylko mi kto przedzy nie ukradł?

— Ja za szkodę odpowiadam — śmiejąc się rzekł Waclaw — a teraz kochana gosposiu, swojego jedyne

gościa proś do stołu.

— Zobaczmyż jego poledwicę! — pocichu szepnęła ciwunówna.

Stół na trzy osoby nakryty był przepysznie, co starą naszą znajomą niepomalu zafrasowało; bo gdzie jej było sprostać tym wykwintom, o których nie marzyła nawet. Ale kuchnia choć skromna, nie przywykłemu do niej podniebieniu wcale się nie podobała. Skosztowała zupy, nie mogła się z nią pogodzić, z wielu przysmakami nie wiedziała jak się obejść, ruszyła ramionami na zimowe szparagi, lodów się złąkla i jeść ich nie mogła, a koniec końcem powiedziała sobie w duchu, że lepszą była w Wulce poledwica.

---

Spojrzymy teraz na tych, którychśmy zostawili w Warszawie. Wyjazd Wacława tak nagły i niespodziewany, Cesia przyjęła zachmurzona, ruszając ramionami i gniewając się po cichu na Sylwana, którego intrydze go przypisywała. Sylwan był mu rad i nie taił się z tem, choć go nie rozumiał, żałował tylko, że na wyjeździe jeszcze pieniędzy nie dopożyczył. Baron dowiedział się o zniknięciu nowego znajomego ze smutkiem widocznym, a córka jego przez kilka dni całkiem się nie pokazywała. Pomimo nader małych dotychczasowych swych postępów, Sylwan nie zrażał się wcale, i na przekór ojcu może, może zakochany i ślepy, wszelkimi siłami garnął się tam, gdzie go chłodno i obojętnie przyjmowano. Raz tylko cokolwiek dłużej i szczerzej rozmówił się z nim baron, ale rozpytując go o Wacława.

Aby mu wszelką odebrać nadzieję, Sylwan kłamać



nie potrzebował; opowiedział o stanie majątkowym z bogaczonego tak niespodzianie kuzynka, o jego charakterze, o przywiązaniu dla Frani, i zakończył przepowiadając blizkie jego ożenie. Baron słuchał z uwagą, smutny, milczący, zamyślony, i zapewne z wieściami temi wybiegł zaraz, pożegnawszy Sylwana, do córki.

Po kilku dniach ukazała się nareszcie piękna Ewelina w salonie zmieniona, blada, rozdrażniona tak, że najmniejszy niespodziany szelest wstrząsał nią jak liściem osiny, i gorzej niż kiedy przyjęła nadskakującego jej Sylwana. Nadszedł był właśnie list od hrabiego, oznajmujący o ożeniu Wacława, i nowina ta była przedmiotem rozmowy, bo Sylwanowi pilno ją było oznajmić. Ewelina za ledwie usłyszawszy o tem, wybiegła z salonu i już nie wróciła do gości; ojciec widocznie siedział jak na szpilkach. Równie prawie wrażenie zrobiła wieść ta na Cesi, która z gniewu i chęci zemsty bezsilnej, pierwszy raz w życiu płakała. Powtarzała że się pomści, odkładając na jutro dopięcie swych zamiarów, ufając jeszcze w siłę wspomnień i zrzeczność swoją; a że nie ją już nie trzymało w Warszawie, gdzie nie wiele miała w towarzystwach powodzenia, poczęła naglić matkę o powrót do domu. Sylwan ich nie wstrzymywał wcale, sprawunki były porobione, wyprawa niemal gotowa. Hrabina Eugenia znudzona, łatwo więc wszyscy zgodzili się na potrzebę powrotu, i Sylwan zachwyciwszy resztę grosza pozostałego u matki, przeprowadził ją do Miłosny, spiesząc powrócić do Warszawy.

Uwolniony teraz od oka matki, od współzawodnictwa z Wacławem, cały się oddał pilnemu staraniu o baronównę. Czas swój rozdzielił na dwoje: na nadskakiwanie Hormeyerowi, świat wielki i zabawy pokątne w do-

branem towarzystwie hulaków po ogródkach, po męzkich kompaniach, w których grywano i pito do upadłego.

Jedno nie przeszkadzało drugiemu, dwa te życia szły obok siebie nie zawadzając sobie i nigdy się nie płacząc z sobą. Większa część towarzyszków Sylwana, jak on, jedną nogą stała na posadzce salonu, drugą w błocie ulicy. Wyświeżeni, w białych rękawiczkach, sentymentalni, dobrze wychowani wśród kobiet i poważniejszych mężczyzn, zrzucali fraki, wstyd, pomiarkowanie i wszelkie uczucie przyzwoitości u Ohma i w Szwajcarskiej Dolinie. Śmielsi i bardziej zużyłi puszczali się niekiedy dla oryginalności i na Dolinę Zieloną, naśladując jak powiadali księcia Józefa, który pod koniec życia dla najbrudniejszych istot czuł pociąg największy. Nie było dnia bez jakiejś w tym rodzaju zabawki; jednego z zakładu wynikłe powoływało śniadanie, często ciągnące się do nocy; drugiego ktoś dawał obiadek gastronomiczny dla jakiegoś przybysza z łysiną; tam była herbata z kartami, indziej karty z winem i t. p. Sylwan na wszystko wystarczał zdrowiem i humorem, odrazu wcieliwszy się z łatwością tenem i zarozumiałością pomiędzy młodzież próżniaczą a bujną, ale kieszeń jego niezmiernie cierpiała, a na dwa światy się dzieląc, elegancki i hulaczczy, wydatek był niezmierny. Karty mu nie sprzyjały i grać nie umiał, a powoli z gry sobie robił namiętność; nie było więc wieczora, żeby kasa jego nie poniosła dosyć znacznego uszczerbku. Wkrótce więc i to co wziął z domu, i to co mu pożyczył Wacław, i to co zostawiła matka, nawet pieniądze dane mu na sprawunki dla Cesi wyczerpywać się zaczęły. Ale Sylwan dawszy się poznać i poznawszy tych, których potrzebował, już był w mo-

żności robienia długów, powoli jeszcze przy pieniądzach wprawiać się w to zacząwszy.

Tymczasem z młodą wdową szło oporem i trudno; żal jej rozdrażniony widokiem Wacława uśmierzył się wprawdzie po upływie kilku tygodni, zaczęła wychodzić znowu do salonu i gości, Sylwan powrócił do *statu quo ante bellum*, ale nie robił postępu.

Ewelina w każdej rozmowie rozpytywała go tylko o Wacława, dowiadywała się o nim najdrobniejszych szczegółów, chciała mieć obrazek Frani, historją jego przeszłości, i choć Sylwan wcale się na pochwały nie wysilał, nie zrażała się tem bynajmniej.

Czas upływał, pieniądze wychodziły, potrzeba było nareszcie stanowczo coś postanowić: Sylwan długo się namyślał, nie chcąc wszystkiego stawić na jedną kartę, ale w ostatku pojechał do barona i oświadczył mu się o rękę jego córki.

Baron przyjął to zimną twarzą, jakby się spodziewał, skłonił się niby dziękując, i namysliwszy się chwilę odpowiedział:

— Córka moja, kochany hrabio, jest panią zupełną swojej woli, do niej z tem udać się zechcesz; lecz żal jej nadto jest świeży, serce nadto zbolełe, żeby się na nowo przywiązać miało. Jako ojciec, jeżelibyś był przyjęty, wiedziećbym tylko pragnął o stanie twych interesów i położeniu; ale dziś i o tem słyseć nie chcę, dopóki córka moja stanowczo nie rozstrzygnie. Z tego powodu, co do naszych też majątkowych spraw tłumaczyć się jeszcze nie widzę potrzeby.

Sylwan czekał tylko zapytania, na które odpowiedź miał gotową, i z udaną szczerością wypowiedział mu się ze skąpstwa swego ojca, z jego żyłki do spekulacji,

z wstrętu nawet jaki miał do ożenienia syna, któremuby część majątku dymittować musiał i t. d.

Baron słuchał z uwagą, słowa nie odpowiedział i odesłał go do córki. Sylwan wzywając w pomoc całej swej zręczności, poszedł do Eweliny. Znalazł ją jak zawsze na kanapie, samą jedną z oczyma wlepionemi w okna, zadumaną i smutną. Powitała go oziębło i wskazała mu krzesło, ledwie otwarłszy piękne usta, na których dawno szczery uśmiech młodości nie powstał. Hrabia nie wiedział od czego począć; ale mu się zdało, że jakikolwiek będzie początek rozmowy, zawsze ją do celu doprowadzić potrafi. Dotąd mówiąc do Eweliny o swoim sercu, odzywał się dwuznacznikami ostrożnemi, których ona, jak było widać z odpowiedzi, nigdy zrozumieć nie chciała, teraz postanowił być wyraźniejszym.

— Pani dziś wieczorem nie będziesz w resursie na balu? zapytał wreszcie.

— Nie wiem — odpowiedziała Ewelina — to od ojca zależy; nie szukam zabawy, nakazują mi ją jak lekarstwo: biorę ją jak miksturę, lub pigułki.

— Jakto? i nigdy wesele drugich nie zarazi panią, nie poruszy, nie rozgrzeje?

— Smuci mnie lub powitanie obudza. Nie miałaś pan listu od kuzyna? — dodała ciszej.

— Nie, ożenił się, a młodzi małżonkowie nie lubią pisać zwykle.

— Na co im świat! — zawołała Ewelina — gdy siebie mają!

— Są drudzy, którym także świat obojętny, bo na nim nie ma dla nich nikogo! — westchnął Sylwan.

— Jak ja! — dorzuciła Ewelina.

— Jak ja! — zawołał Sylwan. — Mówią, że szcze-

re serca uczucie zawsze sobie wysługuje choć litość :  
ja i tej doczekać się nie mogę.

Ewelina spojrzała na niego prawie z pogardą,  
uśmiechnęła się ironicznie.

— O litość najłatwiej — odpowiedziała — ale litość  
to zupa rumfordzka: trochę ogrzewa a wcale nie karmi.

— Ja to wiem najlepiej — rzekł Sylwan, spuszcza-  
jąc oczy.

Rozmowa nie szła, i choć na drodze uczuciowej, nie  
obiecywała doprowadzić do celu, potrzeba było śmiel-  
szy krok zrobić, na który się hrabia odważył.

Wstał z krzesła, i w postawie pokornej, której ni-  
gdy nie przybierał, zbliżył się do baronówny :

— Pani — rzekł nieśmiało, niby przyciskając kape-  
lusz do piersi — chciej mnie chwilę posłuchać. Od  
pierwszego wejścia....

— Zakochałeś się pan we mnie — dokończyła zimno  
Ewelina — i... przychodzisz do mnie z oświadczeniem!  
Wszak tak?

Sylwan się zmieszał.

— Pani żartujesz nielitościwie.

— Ja? nie wcale. Pan jesteś nielitościwy! Widzisz  
jaki mnie smutek pożera, jak obojętnie na świat i ży-  
cie patrzę, i przychodzisz żądając odemnie szczęścia,  
serca, miłości, których dać nie mogę. Życie moje nie-  
długie — dodała po przestanku kryjąc dwie łzy, które  
się z powiek wymknęły — całe okryte żalobą i wspo-  
mnieniem niezatartem, obojętno mi z kim i jak je spę-  
dę. Chceszże pan kobiety, która cię kochać nie będzie,  
która ci zapowiada obojętność, która ci łzy zamiast  
uśmiechu przynosi w posagu?!

— Czas jest wielkim lekarzem boleści serdecznych,

czemużbym się nie mógł spodziewać że będzie sprzymierzeńcem moim, że we dwóch uratujemy cię pani.

— Spodziewaj się hrabio, jeśli ci to dogodne, ale ja ci nie daję tej nadziei. Kochałam raz w życiu, i uczucie to przeżyło najstraszniejsze próby: miałam dowód, że w całej sile na dnie serca trwa jeszcze. Chciałżebyś serca zwiędłego i towarzyszki, która ci nic nad obojętność zimną dać nie może?

— Nadto kocham, żebym mógł się wyrzec nadziei.

— Powiem ci szczerzej jeszcze hrabio — wstając z miejsca odezwała się Ewelina. — Nigdybym w świecie na nowy nie pozwoliła związek. Wiesz co mnie skłania do tego, że ci nie odmawiam: oto nadzieja że zobaczę Wacława, który jest żywym obrazem utraczonego szczęścia mojego. Chcesz — że mnie jeszcze z tem wyznaniem?

— Kocham — odpowiedział Sylwan — i choć cień szczęścia pragnę mieć także.

— Namyśl się — zawołała Ewelina — oddam ci rękę w nadziei, że się zbliżę do twego brata, że choć patrzeć nań będę mogła. Kochać cię nie będę nigdy, weźmiesz ze mną smutek, żalobę, obojętność... to słowo moje ostatnie. Ślubna twoja obrączka obejmie trupi palec zastygłej ręki. Namyśl się, namyśl się panie hrabio.

To mówiąc wyszła powoli, a Sylwan pozostał jak wkuty, i choć zimny na wszystko, choć wiedziony więcej rachubą niż uczuciem, na chwilę zawahał się co mu czynić pozostawało.

Wejście barona, który czatował na narzeczonego jak się zdawało, przerwało głębokie rozmysły. Ojciec wpatrywał się w niego z ciekawością badacza, jakby mu do

głębi serca chciał zajrzeć.

Milczeli oba chwilę stojąc przeciw sobie i mierząc się oczyma.

— Mówił pan z córką moją? — zapytał baron.

— Mówilem — rzekł Sylwan — daje mi rękę bez serca; lecz serce — dodał żywo — spodziewam się pozyskać, usilnie starając się o jej szczęście. Czas jest wielkim lekarzem.

— Namysł się pan — dodał baron — kłaniając mu się i przechodząc do pokojów córki. — Rzecz jest wielkiej wagi, ja spieszę do niej, ta rozmowa poruszyć ją musiała, może być dla niej szkodliwą.

Chociaż wielu liczył przyjaciół, z którymi codziennie był razem i po pijanemu się ścisłał serdecznie, Sylwan rozpatrując się w ich gronie, nikogo nie znalazł, z kimby się mógł naradzić, a niepewność ogarniała go tem większa, im położenie jego było dziwniejsze i mniej zwyczajne. Myślał, dumał, rozważał, ale że przedewszystkiem chodziło mu o dopięcie celu, zaspokojenie miłości własnej i pochwycenie spodziewanych milionów, łatwo było przewidzieć, do czego namysły doprowadzić go miały.

---

Cesia powróciwszy z Warszawy w najzłośliwszym humorze, gniewna na Wacława i na świat cały, nie była dosyć panią siebie, żeby tę zmianę pokryć uśmiechem i obojętnością. Twarz jej nawet wybladła, usta gniewnie ściśnięte, wzrok chmurny wypowiedały, co się w rozdrażnionem sercu działo. Bała się zobaczyć Wacława, żeby nie poznał po niej, jak zażarcie go nienawdziła, jakim pragnieniem zemsty pałała ku niemu,

ku Frani, ku wszystkim, co jej stali na drodze.

Naturalnie najwięcej ucierpiał na tem biedny stary konkurent, marszałek Farurej, dla którego Cesia zmieniła się zupełnie, wróciwszy z Warszawy. Musiała na kogoś gniew swój wylać, i obrała go jako ofiarę.

Przybyły raz pierwszy w najróżowszym humorze, w najśłodszych nadziejach, z pamięcią ostatnich w Denderowie chwil przy Cesi spędzonych, stary zalotnik zastał swoją narzeczoną kwaśną, kapryśną, szyderską i nielitościwą. Zdumiał się, przypisując to przypadkowi, zniósł z pokorą człowieka, który oszczędza ostatniej deski wybawienia, czepiając się jej z rozpaczą; ale po drugiej i trzeciej bytności w Denderowie, nieustannie wyszydzany, stawszy się pośmiewiskiem dziewczyny i przedmiotem jej przycinków, począł się wreszcie namyślać: czy ożenienie z kobietą tak dziwną i mało mającą serca może co prócz niewoli i męczarni obiecywać mu w przyszłości.

Słabość jednakże charakteru, namiętność ostatkiem sił starca gorejąca jeszcze sprawiły, że nie opuszczał Denderowa, nie rzucał Cesi, i codzień prawie próbował szczęścia, ażali się ten zły humor nie zmieni. Ta wytrwałość Farureja omyliła hrabiankę, rachującą mylnie, że nie już zrazić go nie potrafi; obchodziła się więc z nim jak z murzynem, wcale nie szcędząc ani miłości własnej, ani przywiązania, które dla niej okazywał. Rzucała nim jak dziecko zabawką, kazała mu biegać gdy stękał na nogi, śpiewać z sobą gdy chrypiał, pić dziesięć razy zdrowie wszystkich gdy był chory, jeździć kiedy potrzebował spoczynku; nigdy słówkiem miłszem nie osłodziła tych prób, które nareszcie tak przybyły Farureja, że ledwie ostatkiem sił się już dźwigał, nie



schodząc jednak z placu.

Tymczasem milczenie Wacława, jego zamknięcie się w Palniku, widoczne pragnienie samotności, brak środków, którychby użyć mogła dla zbliżenia się do niego i Frani, egzaltowały rozpacz i gniew Cesi. Ojciec widział to, chmurzył się, ale tak wierzył w przebiegłość córki, od czasu jak mu u Farureja pożyczyła pieniędzy, że zaledwie lekkimi uwagami starał się ją na drogę umiarkowania sprowadzić.

— Co mi tam ten stary — odpowiedziała ojcu, gdy ją spytał o to — stu takich mieć będę, gdy zechcę.

— Rozmyśl się jednak dobrze — odparł hrabia — podobnej partji możesz całkiem nie znaleźć; stary chory i bogaty, wartoby go oszczędzać.

— Jeżeli mnie kocha, wszystko ścierpi; jeżeli nie, stałby się tyranem, a ja nie zniosę niewoli.

— Rób co chcesz, ale pamiętaj że nam Farurej jest potrzebny, i że los rodziny może masz w swoich rękach.

— Nie porzuci mnie, bądź ojciec spokojny, tego się nie boję — zawołała Cesia.

Nic jednak nie czyniła żeby go przytrzymać.

Gdy się to dzieje między Cesią i jej narzeczonym, hrabia nie spuszczaający oka z kontraktów, począł się niemi szczerze zajmować. Szło mu naprzód bardzo o to, żeby Ciemiernę oddać w dwóchkroć Wacławowi, a od czasu ostatniej rozmowy synowiec się wcale nie zgłaszał. Zygmunt-August był niespokojny.

— Przez kogobyto podzielać na niego? — dumał sobie — kto tam bywa? Ktobyto mógł mu dodać ochoty do nabycia? Sam na niczem się nie zna. Dwakroć od razu zrzuciwszy z karku, ewikcją moją polepszam znacznie, wierzyciele namyślać się poczną i kontrakta

przeskoczę. Ale kogo tu użyć? kogo tu użyć?

Smoleńskiego już nie było, hrabiemu przyszedł na myśl Moregowski. Moregowskiego używał już do robót podobnych dawniej i dosyć szczęśliwie, zdawało się że i tu usłużyć potrafi; kazał więc posłać po niego. Pan Józefat Moregowski był właścicielem maleńkiej cząstki z dziesięciu dusz męzkich złożonej w Polesiu, do której doszedł z niczego. Za młodu służył w jakiejś kancelarji, dependował przy adwokatach, posługiwał w wyrobkach prawnych, liznął był praktyki sądowej, znajomości ludzi i środków, jakich z niemi użyć można; a że nie miał wcale sumienia i drwił z tego co nazywano poczciwością, pragnąc tylko jakimkolwiek kosztem czegobądź się dochrapać, z hołysza już się był dorobił choć nędznego i łzami cudzemi skropionego kawałka chleba.

Nabycie, które go na stopie obywatelstwa stawiło, było poprostu rozbojem, dokonanym na wdowie z kilkorgiem sierót, których Moregowski wyzuł z ostatniego grosza. Oprócz tego, mając już odpowiedzialność i stosunki szwagrowstwa z sekretarzem marszałka w Opiece, pan Józefat spekulacją sobie założył na administracjach. Miał w ten sposób w posiadaniu sto kilkadziesiąt dusz, i czyhał już na więcej; a że rachunki pisał z ręcznie i silnie był popierany przez pana sekretarza, mającego w tem także benefisa swoje, mógł się cieszyć nadzieją, że owe administracje nigdy nie wyjdą z jego posiadania, a dziedzice w końcu przyjmą jaką taką dopłatę i przyznają mu prawo zupełne do zahaczonych majątności.

Administracja była przemysłem tego zanego spekulatora, na przemiany to w powiatowym miasteczku

włóczęgo się po sądach i kancelarjach, to gospodarującego z żoną na wsi. Jejmość równie była znaczną niewiastą jak szanowny jej małżonek, i we dwoje cieszyli się w przyszłości majątkiem, który niechybnie zrobić musieli. Łzy, narzekania, pogroźki, skargi wydziedziczonych w ten sposób posiadaczy najmniej ich obchodziły. Moregowski nawet czasami nastęczał się na kije, rozdrażniał nieszczęśliwych i podbudzał do gwałtu, gdyż i ze spraw kryminalnych w takim razie korzystać umiał. Spekulował grzbietem jak uczciwością, a byle się sińce na ruble zrealizowały, dawał się bić gdzie chciano.

Pomimo tej podłości, pan Józefat miał pozór bardzo dumnego człowieka; głowa, którą się chlubił, dawała mu zarozumiałość pewną, do bezczelności posuniętą. Doszedłszy z niczego tak wysokiego położenia towarzyskiego, ubrawszy się już w szopy, jeżdżąc nejtyczką, mając kocobryk i nakrycie do stołu srebrne, miał prawo zadzierać trochę głowę do góry. A że nie ma podobno człowieka całkiem zepsutego, u któregooby na dnie serca jeszcze jakaś resztką niedognitego nie pozostała uczucia, i w tym niepoczciwcu tłała iszkiełka szlachetna. Ktoby się to potrafił domyśleć, że pan Józefat umiał być wdzięcznym? Tak jednak było: nielitościwy dla wszystkich i pomiatający ludźmi, tym, którzy mu przy mozolnem na świat wyjściu pomogli, pamiętał ich usługę i starał się dowieść, że miał serce. Z liczby osób co się do wydzwignienia go z nędzy przyczyniły, był Zygmunt-August, który splełanego w pierwszych chwilach administratora instancją swoją u marszałka poratował i od ruiny wybawił. Pan Józefat tak mu to pamiętał, że ilekroć prawnej jego rady, pomysłu do wy-

kretów lub pośrednictwa było potrzeba, stawił się zawsze na zawołanie pana hrabiego.

I teraz też, zaledwie go list z Denderowa powołał, kazał zaprządz i żywo na rozkazy Zygmunta - Augusta pospieszył. Był to mężczyzna lat średnich, zaczynający nabierać już brzuszka, twarzy otwartej, wesołej, uśmiechniętej, otoczonej bujnemi bokobrodami, z nizkiem czołem, zarosłem ciemnym włosem podczesanym do góry, na oko tak niewinny i prosty, żebyś go nie posądził o nic, chyba o trochę żarłocstwa. Tymczasem pan Józefat, choć jadł dobrze z cudzego talerza, u siebie w domu żył tem, co mu żona na kominku w alkierzu zgotowała; często ograniczał się cebulą, chlebem i wódką, w poście o śledziu i wodzie gospodarował, lub barszczyk z olejem całym był jego obiadem, a dlatego wyglądał jak jabłuszko. Jak tylko przyjechał, hrabia go do oficyny kazał prosić, drzwi pozamykał, i żadnej z nim nie robiąc ceremonji, przystąpił do interesu.

— A! a! ślicznie mi wyglądasz Moregosiu — rzekł rozpoczynając rozmowę — brzusek rośnie, twarz się wypełnia i kieszeń zapewnie także.

— A cóż, JW. hrabio, pracuje się, haruje ciężko, jak w pługu, ot, biedę klepiemy; aby bez cudzej krzywdy.

Pan Józefat powtarzał ten aksjomat często, tak że niemal stało mu się to przysłowiem.

— Tak jest! — uśmiechnął się hrabia — świat szelma, trzeba jak można mu się opędzać, żeby poczciwi nie zginęli. Mam interesik, Moregosiu, powinienbyś mi dopomódz.

— Co JW. hrabia każe?

— Siadajno, pogadamy, a naprzód przyrzekam ci, jeśli się to uda, że ci wyrobię administrację Bardijówki.

— Całuję nogi hrabiego, a toby mi było bardzo na rękę. Ale o cóżto idzie?

— Posłuchajno! Znasz mojego synowca?

— Hrabiego Waclawa z Palnika? Słyszałem ale nie znam.

— Tem lepiej, tem lepiej. Nie możesz sobie do niego jakiego interesu wymyśleć, żebyś tam u niego był?

— Mogę, mogę! Chce słyszę kupić koni: wziąłem stado w remanencie w Mazowcu; sąd kazał je sprzedać za niedoimkę, na kupno nasienia, to mu się z chabetami nastęczę.

— Dobrze, dobrze; pewien jestem że sobie dasz radę. Jest taka rzecz, że po żonie ma na mnie dwakroćsto-tysięcy, awizowali mnie do wypłaty w kontrakta. Mam tam wioskę Ciemiernę, między Wulką po Kurdeszu a Palnikiem Waclawa, któraby im zaokrągliła ich mająteczek. Potrzebna im koniecznie; wieś doskonała, niechby to w tych dwóchkroć sobie brali choć z moją stratą, bo im dobrze życzę. Ale to kochany Moregosiu nie wyobrażasz sobie, jak ten Waclaw w interesach ospały i tępy, przeraża mnie jego przyszłość, o nic nie dba, traci, na niczem się nie zna! Sam już muszę pracować aby go dźwignąć. Ot i tu, potrzeba żeby ktoś go podpedził, rozruszał, namówił, odmałował mu konieczność tego nabycia, mnie samemu delikatność nie pozwala.

— A dlaczego, panie hrabio? — rzekł zrozumiawszy rzecz pan Józefat — ja to potrafię.

— Byłem pewny.

— I podejmę się chętnie.

— Dziękuję ci, mój drogi, dziękuję. Dla mnie to, klnę ci się, ze stratą, ale nie mogę patrzeć na tego nieboraka nic nie pojmującego swoich interesów, chciał-

bym mu dopomódz i nie życzę sobie żadnych z tego zysków, byle jemu zaokrąglić majątek. Bez Ciemiernej nie ma tam gospodarstwa.

Wpadłszy na tor, hrabia wyuczył swego pomocnika co i jak miał mówić, dał mu instrukcją doskonałą i do Palnika wyprawił.

---

Wacław od ożenienia swojego ani się ruszył z miłego zakątku, z gniazdeczka, które usłał z takim staraniem dla siebie i Frani; ich dwoje wystarczali sobie, a Brzozosia, ksiądz wikary i kilku sąsiadów całe znajomości tworzyli grono. Człowiek bez ludzi obejść się nie może, ale niewielu dobranych wystarczają mu na życie całe, a im bardziej ściśnięte to kółko, im w mniejszem serce się obraca, tem silniej do niego przywiązuje.

Wysoko nie sięgał Wacław, ani chciał szukać w stosunkach zaspokojenia miłości własnej, pochlebiaenia swej dumie, której nie miał wcale; Frania także do ciszy przywykła, nie rozumiała innego życia; utworzyli więc sobie byt najszcześliwszy w zaczarowanym owym domku, w którym nic nie brakło, a każde marzenie urzeczywistniał dostatek. Brzozosi tylko gorzej tu było daleko niż w Wulce, do której często uciekała, nie miała swojego gospodarstwa, drobiu, nie mogła tak władać domem, próżnowała i nudziła się wdychając, żeby Pan Bóg dał prędzej dzieci, nad któremiby przewodzić, z któremiby się pieścić mogła. I Frania i Wacław z nią często z pięknego salonu uciekali do skromnej izdebki, przypominającej im pierwsze chwile poznania, rozkoszne dni spędzone w Wulce ze starym ojcem. Nie wyczerpując szczęścia do dna, Wacław tak dzielił czas,

że nigdy jeszcze złowroga nuda pod dach jego nie zajązała. Frania miała swoje zajęcia: bawiła się książką, słuchała muzyki, którą Wacław tak lubił i tyle jej czasu poświęcał, chodziła około kwiatków i gospodarowała około domu. On miał fortepian, książki, interesa i sumienne spełnianie opieki nad garstką ludzi zamieszkujących ziemię, którą posiadał.

Płynęły dni w Palniku niepostrzeżone, szybkie, krótkie; zatrważając niekiedy myślą, że tak z nimi przebieży życie. Brzozosia wdychała, modliła się, czuła potrzebę pogderania, brak nowego żywiołu jakiegoś wśród tej jednostajnej ciszy, i znaleźć go jeszcze nie mogła.

W ten miły kącik jednego poranku wcisnął się nieproszonym gościem pan Moregowski z mnóstwem pokłonów i uśmiechów, zdziwiony i onieśmielony przepychem, który tu zastał niespodziewanie. Jedno spojrzenie na Wacława nauczyło go z kim ma do czynienia. Zaczął od koni, które miał na sprzedaż.

— Koni potrzebuję w istocie — rzekł Wacław — ale że się na tem nie znam wcale, poleciłem ich kupno mojemu pomocnikowi i rządzcy majątku.

Zbity z tropu Moregowski powiedział, że się uda do plenipotenty, ale proszony siedzieć, usiadł i rozpoczął rozmowę. Między ludźmi, których nic nie wiąże, którzy nic z sobą wspólnego nie mają i nic mieć nie mogą, zwykle rozmowa bywa najuciążliwszą w świecie męczarnią, jeden z nich musi się poświęcić, a tu los naturalnie padł na gospodarza, zmuszonego wysłuchiwać dowcipnych opowiadań o procesach i administracjach, któremi żył pan Moregowski. Choć często bardzo powtarzał swoje: *aby bez krzywdy ludzkiej,*

z powieści tych jednak poznać było można człowieka, który się zbyt surowem nie powodował sumieniem. Waclaw uczuł wstręt do tego jegomości, ale milczał przez grzeczność. Od słowa do słowa przyszło do Palnika i Wulki, wreszcie do Ciemiernej, i pan Józefat zaczął ją nadzwyczaj wychwalać.

— Ot tobyś pan zrobił interes złoty, gdybyś choć drogo mógł ją nabyć od stryja.

Waclaw prostem jasnowidzeniem jakimś potrzęgl od razu sidła, które mu zastawiono, przypomniał sobie że Moregowskiego widział kiedyś w Denderowie, że hrabia już mu o Ciemiernej napomykał, domyślił się intrygi i uśmiechając odpowiedział:

— Nic łatwiejszego jak nabyć Ciemiernę, był o to już podobno zrobiony układ z nieboszczykiem teściem moim, ale że wypadnie mi wkrótce może cały klucz Denderowski okupić, nie widzę potrzeby się spieszyć.

— Jakto, cały klucz? — zapytał szlachcic przestraszony i zdziwiony.

— Stryj mój chce go sprzedać, mam jego słowo. Zdaje mi się, że się wyniesie do Galicji.

Na to nie już nie mając do odpowiedzenia, pan Józefat wziął za czapkę i gospodarza pożegnał.

Nie mógł posądzić Waclawa ani o umyślny fałsz, ani o podstęp żaden, bo znając się na ludziach trochę, wyrozumiał jego prostotę; zwątpił więc o dawnym swoim protektorze, i nie zaglądając już do Denderowa pojechał wprost do żony.

— Klapsit! — rzekł sobie w duchu — ratuje się jak może, ale śmierdzi trupem pan hrabia. Gdyby tak jeszcze kilka lat administracji na jego majątku, człek by się mógł bez krzywdy ludzkiej pięknego dorobić



fundusiku; ale to diabła warto, pewnie zaraz z licytacji sprzedadzą. I duża rzecz na moje ramiona.

Hrabia tymczasem rachując na pana Józefata, powiedział sobie ze zwykłą przebiegłością swoją, że gdy zachwali przez niego Wacławowi Ciemiernę, a potem go zastraszy, że jej już sprzedać nie może, przyspieszy układy o nabycie i jeszcze coś wytarguje. Wyczekawszy więc dzień i drugi, pchnął posłańca do Palnika z listem do synowca.

Kochany Wacławie!

„Wspominałem ci, zdaje mi się, o Ciemiernie, wioseczce między Wulką a Palnikiem położonej, o którą z nieodżałowanym rotmistrzem Kurdeszem jużśmy byli się ułożyli. Boję się, żebyś mnie nie chwycił za słowo, gdyż w tych dniach wszedłem o tę wieś w umowę z panem Puciatyckim, który mi za nią daje wyżej dwóchkroć, i trudnoby mi już było na dawne z św. p. Kurdeszem zagajone przystać warunki. Nie miej mi proszę tego za złe, a jeśli ci Ciemierna była potrzebna, daj mi znać zaraz, możesz bowiem mieć pierwszeństwo. Chciej wierzyć i t. d.“

Wacław odebrawszy ten list zastanowił się nad nim, pomyślał chwilę i jasno widząc, że w tem wszystkim coś być musi, odpisał stryjowi, że się zupełnie wyrzeka myśli nabycia tej wioski i uwalnia go od słowa danego Kurdeszowi.

Niecierpliwie wyglądał odpowiedzi pan hrabia, a gdy nadeszła, tak był pewien wygranej, że list rozpieczętowując, świstać zaczął marsza zwycięzkiego; stopniami czytając, usta mu się ścisnęły, wydęły, brew namarszczyła się i splunął w gniewie.

— Głupi! głupi! całkiem z rozumu obrany człowiek!

Z takimi ludźmi nie wiedzieć jakich używać środków; uparty! zarozumiały! Niech i tak będzie... zobaczymy kto pożałuje. Nie bierze Ciemiernej, no to nic nie weźmie i będzie kwita!

---

O Sylwanie rzadsze coraz od niejakiego czasu odbierano wiadomości, nareszcie hrabia otrzymał sztafetą list od niego, oznajmujący, że się oświadczył i został przyjęty, z prośbą zarazem o zasiłek pieniężny, gdyż wesela bezzwłocznie odbyć się mające wielkich wymagało nakładów. Sylwan donosił razem hrabiemu, że małżeństwo to czysto tylko na wyrozumowaniu oparte, na które wdowa nie przez miłość, ale przez szacunek dla niego zezwoliła, wielkie i większe nadspodziewanie przynieść im powinno korzyści. Baron Hormeyer oświadczył narzeczonemu, że nie mogąc w tej chwili dysponować znacznymi jakiego posiadał majątkami, ze swej strony zapewniał tylko córce do życia swego, po którym dziedziczyć miała wszystko, tymczasową pensją dwudziestu tysięcy reńskich. Wnosił ztąd, że kto tak znaczną sumę za tymczasową uważa, nierównie więcej mieć musi; a choć delikatność nie dozwalała mu dowiadywać się o własność wyłączną wdowy, rachował ją na drugie tyle jeśli nie więcej. Poza tem wszystkiem zostawały jeszcze nadzieje spadku po ojcu i t. d.

Hrabia długo nad listem siedział: niebardzo był rad rozwiązaniu, ale codzień się czując gorzej w interesach, pozbywając Sylwana spodziewał się być wolniejszym i napisał, że ze swej strony pensją także odpowiednią nowożeńca wyposaży.

— Czy zapłacę, czy nie — rzekł w duchu — co

mi tam szkodzi mu zapewnić! Niech się już żeni: może mniej do mojej kieszeni zaglądać będzie.

Odwrotną więc sztafetą poszły urzędowe listy do barona i jego córki od całej rodziny: pełne czułości, oświadczeń i zaproszeń do Denderowa.

— Juźcić pierwszą ratę zapłaci baron z góry — rzekł w duchu ojciec — a chybabym już do niczego był niezdatny, żebym jej nie pochwycił. Sylwan mi winien. Kosztowało ogromnie wychowanie jego, podróże; właściwie, z powodu niego zadłużyłem się po większej części: słuszną, by mnie teraz dźwignął.

W tych myślach pogrążonego zastał hrabiego przybywający Farurej, który jeszcze niezrażony u Cesi szczęścia próbował; ale i teraz znalazł ją kwaśną, nachmurzoną i przyjmującą go tylko wyrazistym ramion ruszeniem.

Dotąd jaśniej nie spowiadano się Farurejowi z projektów Sylwana, ale gdy już list ów oznajmujący o oświadczeniu i przyjęciu, a żądający posiłków nowych nadszedł, a sztafetę z błogosławieństwem wyprawiono, nie było co robić tajemnic. Hrabia z uśmiechem zwyciężkim kazał sobie powinszować ożenienia syna i począł opisywać świetność i nadzieje tego związku.

— Więc się tedy żeni hrabia Sylwan — uśmiechając się i kłaniając po swojemu, rzekł Paryżanin, rzeskiego nawet przed teściem udając młodzieńca, choć go nogi gorzej coraz pod zimę bolały. — *Recevez mes compliments les plus sincères*; ale, z kimże? zapomniałem, czy może nie słyzałem??

— Partja przepyszna — pospieszył hrabia — imię piękne, tytuł, fortuna olbrzymia, a panna... to jest wdowa, ale to jak jedno: bardzo krótko żyła z mężem,

jedynaczka.

— A! zachwycony jestem, podzielam uczucia radości kochanego hrabiego. Zawszem wiele rokował po Sylwaniu... *un si bon camarade!* Ale któż narzeczona? niezmiernie jestem ciekawy.

— Córka barona Hormeyer, która była. za... za... niemieckie nazwisko... nie przypominam sobie... żyli w Wiedniu.

— A imię jej? — zapytał zamyślając się Farurej.

— Ewelina.

— Ewelina Hormeyer! — wykrzyknął marszałek — a! byćże to może? — I stary zalotnik uśmiechnięty przed chwilą, zakłopotany zamilkł jak nożem uciął, a na fizjonomii jego odmalowało się zdziwienie i wstręt źle pohamowany.

Hrabia postrzegł to zaraz bystrym rzutem oka.

— Znasz ich, marszałku?

— Znam? nie, to jest, zdaje mi się... słyszałem coś... widywałem ich... czy w Wiedniu, czy we Lwowie, przesunęło mi się to przed oczyma, nie przypominam sobie.

— Widzę, że ich znać musisz — nalegać począł hrabia — a zatem, szczerze, otwarcie, zaklinam, mów, jeśli wiesz co to za jedni? Bogaci? wszak milionowi: nieprawdaż?

— Bogaci! tak... sędzę, że muszą być bogaci — wyjąknął Farurej zakłopotany widocznie coraz bardziej, oglądając się jak gdyby chciał uciekać. Poszeptał coś niewyraźnie i urwał, pragnąc zmienić rozmowę.

Hrabia widział jak mu się ciężko przychodziło tłumaczyć, przestraszony powstał z kanapy i zawołał chwytając go za rękę:

— Kochany marszałku! na Boga! mówże prawdę:

może go jeszcze czas ocalić!

Farurej obejrzał się jakby pytał jeszcze, czy ma całą prawdę powiedzieć.

— Ale — zająknął się — ale bo nie znam ich tak dalece.

— Mów co wiesz, cóżto są za jedni ten baron, ta jego córka? z kąd to pochodzi? Przerażasz mnie milczeniem!

— Nie chciałbym robić plotek — cicho odezwał się Farurej — ale czemu mi hrabia wprzód o tem nie wspominałeś?

— Sam nie wiem dlaczego wprzód nie pytał; nie sądziłem, żebyś marszałek wiedział co o nich. Ale cóżto jest? mów, zlituj się, nie trzymaj w dręczącej niepewności. Herb moich naddziadów ma-li być splamiony? Pośle sztafetę, polecę sam, może go uratuję, rozerwę.

— Chcesz pan hrabia całej prawdy, winienem ci ją i nic nie zataję — kłaniając się grzecznie rzekł stary — ale ja wiem nie wiele, nie wiem nic pewnego. To co wiem, obowiązany jestem powiedzieć przyszłemu teściowi i szacunkowi, jaki mam dla rodziny hrabiego.

— Mówże kochany marszałku, mów, a rąb mi szczerze — przerwał hrabia, którego oczy iskrzyły się niepokojem i gniewem. — Widzę, że Sylwan się upłatał, a jam go przestrzegał, a jam mu przepowiadał, ja czułem, że to coś podejrzanego, że ten baron żydem trąci.

— O baronie Hormeyer zasłyszałem raz pierwszy w Wiedniu — odezwał się powoli Farurej — był wówczas jakimś urzędnikiem przy dworze i otrzymał był tytuł barona za szczególną protekcją. Z kąd pochodził? nikt nie wiedział, to pewna, że długi czas trudnił się dostarczaniem drogich kamieni dla dworu austriackiego.

— Jubiler! — krzyknął hrabia bijąc w ręce.

— Coś takiego, coś takiego, — rzekł Farurej — jeździł po Europie, skupował kosztowne kamienie, a że się na nich znał doskonale, wiele też podobno na nich zarabiał. Aleby był tem baronowstwa nie doszedł.

— A czemu go się dorobił? — zawołał hrabia — ten żyd przeklęty!

— Wszak nie mówiłem, że był żydem? — zapytał Farurej — bo to mogą być plotki.

— Ale te plotki istniały? — zapytał Dendera w rozpacz.

— O kimże nie gadają złośliwie! — pocieszył go Farurej.

Zygmunt-August pochwycił się za głowę, zaciął usta i padł na kanapę zasłaniając oczy.

— Mów już wszystko marszałku, mów: nic mnie nie potrafi obejść teraz.

— Baron tedy Hormeyer miał ogromne stosunki: przysługiwał się wielu i wszedł jakoś powoli w lepsze towarzystwa; ożenił się.

— Z kim? — spytał hrabia.

— Nie wiem: z jakąś córką bankiera.

— Żyd z żydówką, paradnie! — zgrzytając zębami mówił Zygmunt-August. I cóż tedy? przyszły żydzięta!

— Owdowiał, ale mu po niej została córka; wszyscy się na to zgadzali, że to było cudo piękności: dał jej wychowanie najstaranniejsze. Cały Wiedeń latał za sliczną Ewelina.

— I wyszła za mąż?

— Nie, nie wyszła za mąż — zimno rzekł Farurej, nigdy nie była zamężną.

— A toż co? to coś nowego! Marszałku zaklinam

cię, nie cedź mi po słówku, mów pędko i jasno.

— Zobaczył ją księżę F..., podobała mu się, pokochał, i...

— I cóż? i co?

— I dano jej później tytuł hrabinej *von*...

— Tego mi brakło!

— Spotrzeżono jednak rychło, że miłość ta stała się groźną dla przyszłości księcia: chciano go żenić, nie dawał sobie mówić o tem; cały utonął w swem przywiązaniu, miał nawet zamiar, jak mówią, zaślubić morganatycznie piękną Ewelinę, która go szalenie kochała, którą on ubóstwiał do szaleństwa. Użyto więc najenergiczniejszych środków, aby ich rozłączyć. Księżę został do Włoch wysłany, a hrabinie rozkazano wydalic się z Wiednia naprzód do Lwowa, potem za granicę, naznaczając jej pensją dwudziestu tysięcy reńskich dożywotnie.

Dendera słuchając siedział blady, coraz to się chwytając za głowę.

— To śmierć! to zagłada! — mówił przerywanym głosem — to poniżenie, to zguba! To oszukaństwo! ja nie dam się spełnić tej hańbie, ja leczę, rozwiodę ich: to przyjść nie może do skutku. A Sylwan! Sylwan! gdzie jego rozum, gdzie znajomość ludzi, żeby się tak mimo przestróg moich dał uwieść i oszukać.

Hrabia milczał chwilę, a potem dodał nagle:

— Nie chcę go widzieć, wypieram się go na wieki! Ale powiedz marszałku, to więc człowiek bogaty?

— Wcale nie, kiedy już chcesz prawdy — rzekł Faurerj — Hormeyer był nim, ale nieszczęśliwa do kart namiętność wszystko pochłoneła; córka musi go pilnować, żeby się do ostatka nie zrujnował. Całym ich ma-

jątkiem jest owa pensja 20.000 reńskich, przepyszne srebro, dar księcia i klejnoty pozostałe z handlu, lub z tegoż co dożywotni ów dochód wynikłe źródła.

Dendera padł przybity.

— Daruj hrabio — dodał Farurej — że tak przykrych wiadomości jestem zwiastunem, ale cóż? chciałeś całej prawdy, nie mogłem kłamać przed tobą. Powiem ci tylko jeszcze, że to ożenienie nie jest jednak tak złe, jak ci się zdaje, przeniósłszy się do Galicji, możnaby z niego korzystać.

Hrabia nic nie odpowiedział, ale znać było jak cierpiał: darł na sobie suknie z gniewu, miotał się jak szalony.

— Dziękuję, dziękuję — zawołał nareszcie z przy-ciskiem i iskrzącemi oczyma, konwulsyjnymi ruchy szukając pióra i kałamarza, dzwoniąc razem na sługi i przewracając po stoliku.

— Czas jeszcze: potrzeba temu przeszkodzić; poszlę, pojedę, rozerwę. To nieszczęście! to cios, jaki od lat dwóchset rodu naszego nie spotkał! Ja ich znać nie chcę, ja się Sylwana wyrzekam, to głupiec!

Farurej chodził milczący.

— Zresztą — dodał — chociaż to wszystko com opowiadał ci, pochodzi zdaje mi się z najlepszych źródeł, kto wie, może niechęć coś dodała? Uderzyła mnie w czasie pobytu w Warszawie cudna twarzyczka Eweliny. A! bo też jak anioł ładna! Z tego powodu takem się jej historii dowiedział szczegółowie! Cuda mówiono o jej przywiązaniu do księcia! Po rozłączeniu się z nim, omało z szału i rozpaczy nie umarła.

— Śliczna historia! śliczna żona! — wołał Dendera — ot tośmy się uplatali! I w posagu naszyjnik,



sztuciec srebrny i pensja dożywotnia. Daj go katu! cha! cha!

Śmiał się hrabia, ale ze złością wściekłą; wtem jakby na przekorę wszedł służący, i świeżo przywiezioną pocztę podał na srebrnym blacie. Drżącą ręką przerzucił ją Dendera, rozerwał pakiet na którym poznał charakter Sylwana, i upadł w krzesło, wołając:

— Stało się! ożenił się! jada! Nie mam sposobu ich wstrzymać, są w drodze; jutro, za dni kilka w Denderowie być mogą. A! to jakieś przekleństwo Boże!

— Jakto? już się ożenił? zapytał Farurej — już?

— Spieszył się, żeby mu kto tego skarbu nie wydarł. Głupiec, arcy-głupiec! bałwan! Niechże przepada, niech ginie, niech jedzie dokąd chce, ja go na oczy widzieć nie chcę. To nie mój syn, wypieram się go na wieki!

— Hrabio! to być nie może — rzekł powolnie marszałek — wszakżeś błogosławił, wszak prosiłeś!

— To było błogosławieństwo pochwycone, kłamali, oszukiwali nas.

— Ale możesz się narazić, Hormeyer ma silne plecy.

Dendera się zastanowił.

— Cóż mam począć? — zapytał.

— Nie robić z tego wrzawy, milczeć i w milczeniu przecierpieć, co los przeznaczył. Wojować z człowiekiem i kobietą, którzy cię jednym skinieniem obalić mogą, tobie hrabio niepodobna. Prócz mnie i ciebie nikt o tem wiedzieć nie będzie; owszem chwal się losem syna, ja dochowam tajemnicy, *il faut faire bonne mine à mauvais jeu!* inaczej tego nie rozumiem.

Zygmunt-August chwilę się zastanowił i pomyślał:

— Masz pan słuszność. Ale to mnie dobija! Dajesz

mi słowo honoru, że nikt o tem wiedzieć nie będzie?

— Odemnie, ręczę — rzekł Farurej — będę milczał jak grób. — To mówiąc, gdy w bezsilnym gniewie rzucał się jeszcze Dendera, marszałek dość zawsze obojętny, gdyż mu wzruszenie na wątrobę szkodziło i starannie go unikał, przeszedłszy się parę razy po pokoju, włożył glansowane rękawiczki, wyjrzał oknem i przekonawszy się, że mrok pada, począł się żegnać, unikając dalszych rozpraw i tłumaczeń.

Można sobie wystawić stan umysłu hrabiego; kilku godzin potrzebował na oswojenie się z tym krwawym zawodem jaki go spotkał, by z twarzą spokojniejszą wyjść do żony i córki z oznajmieniem o weselu Sylwana.

— Ha! — pomyślał na ostatku — zostaje mi Farurej, którego doić będę, jeśli go znów głupia Cesia nie zrazi; mam Wacława, któryby powinien być powolnym; mam głowę... a 20 tysięcy reńskich Sylwana, a klejnoty jego żony: zawsze to coś znaczy. Dam sobie rady jeszcze i podniosę się na nogi. Potrzeba tylko głosić szeroko, że Sylwan bierze ósmkroć gotówką, a oczekuje po niej około dwóch milionów. I to przydać się może.

---

Minęło dni kilka, i szczęściem jakoś na pierwsze gorące wrażenie, Sylwan z żoną nie przybył: choroba Eweliny, która nazajutrz po ślubie niebezpiecznie zapadła, wstrzymała przyjazd państwa - młodych. Nie brakło jednak zmartwień staremu Denderze, który zamknięty między czterema ścianami, zębami zgrzytał z gniewu, a wychodząc między ludzi, musiał przybierać twarz pogodną, oblicze spokojne i okazywać się panem więcej niż kiedy, wśród grożącej mu co chwila ruiny. Zbliżał się co chwila Nowy Rok i kontrakty; ze wszech stron sypały się znowu żądania kapitałów, a sam hrabia uprzedzając niektórych wierzycieli i chcąc ich odurzyć, rozkazał rozesłać listy, ofiarując im zwrot sum, od których procentów nawet nie było czem zapłacić. Komedja przynajmniej śmiało i raźnie odegrywała się do końca.

Dodawała zgryzoty hrabiemu Cesia, której nienawiść, wstręt, nielitościwe obojętność z Farurejem, codzień stawały się wyraźniejsze i bardziej zagrażały zerwaniem. Stary zalotnik nękany, w końcu począł bywać coraz rzadziej, coraz krócej: ochłódnął, zdawał się namyślać; a ta w nim zmiana zamiast opamiętać Cesię, większe w niej jeszcze wybuchy gniewu wzbudzała. Rozstawali się za

każdą razą gorzej, i marszałek przez kilka tygodni ani się już pokazał.

Hrabia coraz bardziej niespokojny, posłał wreszcie dowiedzieć się o jego zdrowie. Odpowiedziano mu, że był zupełnie zdrow i wyjechał w sąsiedztwo. Cesia obrażona przydłuższem milczeniem, ze swej strony poczęła się dowiadywać co robił, a z badania okazało się wyraźnie, że do młodej jakiejś wdówki począł dojeżdżać codziennie i miał już w głowie nowe jakieś zamiary.

Nie utaiło się to i przed hrabią, bo złe wieści szybkie mają skrzydła; ale jak mógł kłamał przed sobą i nie rozumiał, żeby to miało zrywać projekta; sądził raczej, że marszałek chciał tylko zazdrość wzbudzić w Cesi. Napisał więc list grzeczny, zapraszając Farureja do siebie.

Nazajutrz przybył żądany gość w kwaśnym nadzwyczaj humorze, widocznie tylko gwałtem wciągnięty, z miną znudzoną i pogardliwą. Cesia powitała go zimno choć grzecznie, lecz nie wytrzymawszy, zaraz mu z dumą obrażoną przycinać poczęła. Farurej nie tłumacząc się, zamilkł.

Po obiedzie zostawiono ich samych. Hrabina tylko usiadła dla przyzwoitości z książką w drugim pokoju. Farurej trzymał się ciągle zdaleka, chodził zamyślony; Cesia poczęła żartować po swojemu.

— Czy pan tak czem zajęty, czy tak chory na te swoje nogi — spytała z francuzka po chwili — że do nas nawet przyjechać nie możesz, tylko raz w kilka tygodni?

— Zdrow jestem zupełnie — odpowiedział Farurej — powiem pani nawet, że mi nogi bardzo odeszły po

smarowaniu doktora Schwarca; nie mam też żadnego pilnego zajęcia, ale obawiam się już naprzykrzać, szczególnie pani.

— Któż panu mówił, że się naprzykrzasz?

— Widzę to dobrze od niejakiego czasu. Pani jesteś zawsze dla mnie tak nielitościwą, tak przy mnie smutną i podrażnioną, że pragnę jej zejść z oczu i oszczędzić powodów zniecierpliwienia.

— Dziękuję za tę troskliwość o mnie — zimno i dumnie mierząc go okiem, odpowiedziała Cesia — lecz zkądżeto pan tak nagle dopatrzyłeś się teraz tylu rzeczy dawniej niewidzianych?

— *Que voulez vous?* sama pani postrzegasz, żem stary, dużo patrzę, dużo myślę...

— A! przecież się pan opatrzył! — ze śmiechem wybuchła Cesia — *Delicieux! charmant!*

— Tak pani — rzekł chłodno Farurej — a zarazem postrzegłem, że pani jesteś bardzo młoda: zamłoda dla tak starego człowieka.

— Cóżto? wymówka? Co to jest?

— Nic. To tylko trochę zapóźne opamiętanie.

— Czemuż tak późne? — chwyciła za słowo Cesia.

Farurej zamilkł, powstrzymał się z dalszym tłumaczeniem, ale rozgniona Cesia wiodła go coraz dalej, jakby naumyślnie.

— Cha! cha! — rzekła — jakiś pan dziś nieoceny! Cóż dalej, kochany marszałku, co dalej?

— Pani! — rzekł nagle zatrzymując się naprzeciw niej marszałek i przybierając minę zarazem smutną i poważną. — Istotnie, zawsze czas postrzedz się, gdy kto ma popełnić niedorzeczność. Właśnie muszę panią za jedną, do której się z pokorą przyznaję, przeprosić.

— Za którą? — spytała dowcipnie Cesia, doprowadzając go do niecierpliwości — tyle ich było!

— Za jedną i jedyłą, zdaje mi się, jaką mam sobie do wyrzucenia: za to, żeś śmiało sądził, iż się pani potrafię podobać, ja stary, niedołążny pedogryk; żeś ośmielił się mieć nadzieję pozyskać jeśli nie jej serce, to litość i trochę względu. Była to chwila złudzenia, dziś....

— Dziś się panu otworzyły oczy! *que c'est heureux!*  
— przerwała Cesia śmiejąc się do rozpuku — a! dokończże pan.

— Dane mi słowo pani, zwracam jej z boleścią, ale z przekonaniem, że nie bylibyśmy, nie moglibyśmy być z sobą szczęśliwi. Ja dla pani, widzę to zapóźno, niestety, jestem całkiem niestosownym: mam jeszcze trochę uczucia i odrobinę dumy. Znajdziesz pani innego, zapewne szczęśliwiej obdarzonego odemnie.

To mówiąc Farurej, z godnością i powagą ukłonił się grzecznie.

— I cóż jeszcze? i cóż mi pan powiesz jeszcze, równie miłego i grzecznego? — spytała Cesia w gniewie, zbliżając się do niego.

— Darujesz mi pani, żeś tak długo zostawał w błędzie, żeś ją tak nielitościwie nudził moją figurą. Zwracam jej przyrzeczenie szczęścia mojego i swobodę; spodziewam się, żeś pani choć dziś powinna być ze mnie kontenta.

— Zupełnie — odpowiedziała Cesia, hamując w sobie wybuch złości — dziękuję panu serdecznie za swobodę i uwalniam go także. Nie wątpię, że pani Halina S... stosowniejszą dla niego będzie partją, ma lat z dziesięć więcej odemnie i daleko więcej drogiego doświadczenia, którego mi całkiem braknie.

Rzucając ten pocisk ostatni w oczy staremu załotnikowi, Cesia dygnęła z udaną powagą i wybiegła, drzwi zatrzaszkując za sobą. Farurej trochę zmieszany wziął kapelusz i wyszedł pożegnać hrabiego.

Potrzeba było i z nim pomówić i jemu zwrócić dane słowo. Trudności swojego położenia nie skrywał przed sobą Farurej; ale to było nieuchronnem: powlókł się więc z posępną twarzą, i nie chcąc odwlekać długo, przybierać się powolnie, wołąc odrazu zerwać maskę, przemówił do wcale nieprzygotowanego na ten cios Dendery:

— Panie hrabio! ze smutkiem mi przychodzi wyrzec się chlubnych nadziei ściślejszego połączenia z twoim domem. Panna Cecylia, jakem to już postrzegał od dawna, nie może przywyknąć do mnie: wieki nasze są niestosowne; ja się *trochę* starzeję.

Zaskoczony tak nagle Dendera, spojrział dziko i zawołał:

— Pozwól sobie powiedzieć mości marszałku, że ci trochę zapóźno przyszły te refleksje.

— Owszem, bardzo jeszcze w porę, by pięknej hrabiance nie zawiązywać losu. Zwróciłem już jej dane mi słowo, przyjęła je, uwolniła wzajemnie; rozstaliśmy się bez łzy i żalu.

— Jakto? jakto? ale cóżto się stało? co mogło być powodem? Jakieś chwilowe nieporozumienie?

— Nie, hrabio. Czekalem długo, rozważalem bacznie, uwodziłem się nadzieją do ostatka; nareszcie trzeba się było poddać oczywistości: przekonaliśmy się wzajemnie, żeśmy niestosowni dla siebie.

— Ale panie marszałku, ja na to nie dozwolę. To się tak zrywać nie może, to z ujmą dla domu mojego.

Farurej uśmiechając się ruszył ramionami.

— To być musi, kiedy jest; rzecz skończona.

— Ja na to nie pozwolę! ja na to nie pozwolę!  
Ja poszukiwać będę!

— Jak? — spytał zimno Farurej. — Nie widzę co byś pan mógł poradzić?

— Moja córka jest tem skompromitowaną: cały świat wie o jej zaręczynach. Tak się to zerwać nie może.

— A kiedy się zerwało — odparł znów z wielką flegmą marszałek.

— Ale to osobista nas wszystkich uraza! Ja, Sylwan, Wacław, poszukiwać jej będziemy na osobie pańskiej!

Marszałek, który widać od sąsiadów zasłyszeć coś musiał o powikłaniu interesów Denderowa, zbliżył się do hrabiego.

— Kochany hrabio — rzekł kłaniając mu się — to wszystko dobrze, ale wiesz, że się nie strzela do człowieka, któremu się winno pieniądze. Oddasz mi coś winien, ty i Sylwan przysłecie sekundantów, umówimy się o czas, miejsce i wybór broni, i bić się będziemy.

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze! — zakrzyczał wściekle Dendera.

— Jestem i będę na rozkazy, a teraz pozwól się pożegnać — rzekł Farurej biorąc za kłamkę — *Mes respectes á Madame la Comtesse. Votre serviteur!*

---

Cesia chodziła niespokojna i zapłakana z gniewu po swoim pokoju, gdy ojciec wpadł do niej z tak obłąkanym wzrokiem, tak poruszony, zajadły, zmieniony,



że ujrzawszy go, cofnęła się z przestracchem.

— Co to jest znowu? — zawołał — chcecie mnie żywego wpędzić do grobu? pragniecie śmierci mojej? Co za nowe napadło cię szaleństwo? Coś zrobiła z Farurejem, który zrywa?

— Ja? Ja nie wiem.

— Tyś mu dała powód.

— Powtarzam ci ojcze, to kaprys starca. Ale dlaczegoż ma to nas tak bardzo obchodzić?

— Nas to gubi! Ożenienie Sylwana, zerwanie z Farurejem, to są ciosy nie do przeniesienia. Kto cię teraz weźmie, godna swojej matki córko?

— Ojcze! jam temu niewinna. Farurej stara się o Halinę.

— Niewinna! Wszyscy niewinni, a któż winien? Dlaczego ciągnęłaś go wprzód, odpychałaś potem przez niepojęte jakieś dziwactwo? Szydziłaś ze staroego i pomiałała nim jak dzieckiem: zraziłaś go. Więc wy mnie chcecie zabić? wy mnie chcecie zabić! Ty! twoja babka, twoja matka, Sylwan... wszyscy, wszyscy spiknęliście się na spokojność moję.

Cesia zamilkła. Hrabia chodzić zaczął żywo.

— Pisz do niego, rób co chcesz, niech powraca.

— To być nie może.

— Być nie może! A więc bić się z nim będę ja, Sylwan, Waclaw; zabijemy go. To wstyd nowy, śmiech ludzki, hańba: trzeba umierać ze sromu; ja tego nie przeżyję, ludzie nas wkrótce palcami wytykać będą. Ten zjawiony z pod ziemi synowiec — mówił dalej sam do siebie — ta konfiskata majątku, to zamażpójście Czeremowej, ożenienie Sylwana, te zniszczone najpiękniejsze nadzieje: to wszystko nad siły moje. Ludzie

z radością patrzą na mój upadek, na upokorzenie, cieszą się z nieszczęścia, którego los i oni sami są sprawcami. Nie mam się gdzie obrócić, zewsząd mnie ściga cios jakiś.

I odwróciwszy się do córki, zawołał nieprzytomny:  
— Bądźże przekłeta... ty, on i wy wszyscy!

To mówiąc, wybiegł z pokoju Cesi, przeleciał puste i osmutniałe salony i począł błądzić po podwórzu, nie postrzegając, że się na dziwowisko ludzi wystawiał; gdy nadbiegający sługa dał mu znać, że przysłany z blizkiej poczty umyślny, oznajmił o przybyciu Sylwana.

Za pół godziny z żoną w Denderowie być mieli.

Ten drugi cios zamiast dobić, oprzytomnił hrabiego.

---

Cicho, w zamkniętym kościele odbył się ślub Sylwana z Ewelina; za świadka służył baron i dwóch przyjaciół nowożeńca: nikogo nie proszono na wieczór, i około dziesiątej w wielkim salonie Hormeyera pozostał tylko hrabia z młodą żoną swoją. Od rana już wdowa czuła się tak słabą, że ojciec, który ją znał dobrze, jakby przewidując następstwa wielkiego wzruszenia przy obrzędzie, nikogo na to wesele nie prosił. Jakoż ku wieczorowi stan się jej wielce pogorszył, opanowała ją niespokojność, gorączka, częste zaczęły napadać mdłości, i pierwszą czynnością Sylwana, jako męża, było biedz po doktora.

Przybyły, jeden z najznakomitszych lekarzy w Warszawie, nie ograniczając się zewnętrzными oznakami choroby, długo badał pacjentkę, zapisał jakieś uspakajające lekarstwo, i nakazał spokój najzupełniejszy, a nadewszystko unikanie wszelkiego widoku, któryby ją mógł drażnić.

Baron więc pożegnał Sylwana ściśnieniem ręki, dając mu do zrozumienia, żeby się oddalił i nowożeniec odjechał do samotnego swego mieszkania, do którego już nie spodziewał się powrócić tak rychło.

Nazajutrz dodnia był już u barona; lekarz go uprzedził: trzech ich siedziało u łóżka Eweliny, której

choroba w ciągu nocy przybrała charakter zatrważający. Gorączka nie dawała się przerwać niczem, przyszedł szal i nieprzytomność, porywała się z łóżka chcąc biedz, śpiewała, śmiała się, płakała, nie poznawała ojca: marzenie ciężkie mózg jej opanowało.

Baron stał u łoża i płakał; Sylwana nie wpuszczono nawet do niej, gdyż Hormeyer przewidywał, że widok jego w tej chwili dla chorej szkodliwym być może. Pomiedzy życiem a śmiercią zostawała Ewelina dni kilka; kilkakroć rozpaczano o uzdrowieniu, a gdy poczęła nareszcie przychodzić do siebie, już jej nie wróciła się przytomność. Zdrowie jej zdawało się w normalnym stanie, odzyskała spokój, siłę, świeżość, wdzięk, tylko umysł pozostał w dziwnego rodzaju obłąkaniu.

Nie był to szal zupełny, ogarniający wszystko, ale jakiś obłąd cząstkowy. Dla obcych chwilami mogła się zdawać przytomną, były godziny w których nie pozostawało śladu obłąkania, mówiła, śmiała się, bawiła, ale oczy ojca widziały ciągle stan córki takim, jakim był w istocie. Ewelina straciła pamięć wielu wypadków, inne zmieszały się w jej głowie na utworzenie jakiegoś fałszywego życia i szczęśliwości kłamanej. Zdawało jej się, że nie rozłączyła się nigdy z ukochanym, że po ciężkich przeciwnościach związane ich nareszcie ślubem wiekiustym, że chwilowo się z nim tylko rozstała. Czowała się spokojną i szczęśliwszą niż kiedy, przyszłość widziała jasną i pogodną, i serce się ścisnęło patrząc na to wesele, które okropnem kiedyś przebudzeniem do rzeczywistości skończyć się miało. Zresztą zdrowie jej nigdy lepszem nie było: rumieniec powrócił na twarz, oczy jej czarne poglądały wesoło, chodziła, jeździła, przyjmowała gości i ciągle wybierała się w drogę, do

księcia, z którym, jak mówiła, za dni kilka połączyć się miała. Lekarze zdumieni tą niespodzianą zmianą, nie na nią radzić nie umieli: życzyli podróż, rozrywkę, obiecywali coś w przyszłości, ruszali ramionami, i widocznie pozbyć się chcieli chorej, której pomódz nie byli w stanie. Większość ich utrzymywała, że koniecznie potrzeba było wyjechać z nią i odbyć długą drogę.

Położenie Sylwana stawało się codzień przykrzejszem: żona bowiem nie przyznając go wcale za męża, obchodziła się z nim jak z obcym, i skutkiem jakichś pomieszanych przypomnień, sądziła go bratem księcia. Z iskierką jakiejś nadziei zaczęto się nareszcie wybierać w podróż do Denderowa, a Ewelina nie kryła radości swojej, utrzymując, że jedzie do męża, który na nią czeka niecierpliwie. Skutkiem ciągle w jej głowie zmieszanych marzeń, snów i rzeczywistości, często opowiadała o otrzymanych od niego listach, o przynagłaniu ją do wyjazdu, i z dziecinną trzpiotowatością zaczęła pakować się do podróży. Baron patrząc na nią płakał chwilami; serce ojcowskie mówiło mu, że córka jego już być uleczoną nie może: wyrzucał sobie przeszłość, nie widział nic na świecie, co by ją zastąpić mogło. Sylwan więcej był gniewny, niż smutny: głównie chodziło mu o siebie, o swój los związany z tą kobietą bezprzytomną, która nie była mu żoną, a zagradzała przyszłość. Bez wiary, uczucia, bez prawdziwej miłości, nie znajdował pociechy w niczem, prócz brudnych szalów, któremi się durzył umyślnie, pragnąc stracić pamięć i przytomność. Probował już kilka razy opamiętać Ewelinę, przekonać ją, że był jej mężem, że wszystko o czem marzyła było tylko złudzeniem; ale ta śmiejąc się i żartując odpychała go od siebie,

biorąc to tylko za jakąś igraszkę.

W takim stanie wyjechali do Denderowa: baron, córka jego i utrapiony Sylwan, który przewidywał burzę, jaka go od ojca spotkać miała. Ewelina w ciągu podróży była jak najweselsza: cieszyła się nią, mówiła ciągle o mężu, i z dziwną przytomnością i czynnością rozporządzając wszystkim, przedstawiała ojcu najstraszniejszy obraz szczęścia, opartego na najzupełniejszym obłąkaniu. Nigdy jeszcze tak piękną, tak zdrową, tak wesołą, tak w drobnych rzeczach jasno i rozumnie sądzącą, tak czułą dla siebie, tak ujmującą dobrocią dla wszystkich, nie widział jej baron; nigdy też bardziej nie zakrwawiło się serce jego jak dzisiaj.

Ten stan widocznie przedłużając się, utrwalając, stając się niejako normalnym i w ciągu swoim logicznym, nie robił najmniejszej uzdrowienia nadziei.

Z ostatniej stacji, Sylwan za posłańcem sam pospieszył przodem do ojca, aby go uprzedzić o swoim nieszczęściu, i o ile możliwości złagodzić wybuch jego gniewu. Ze strachem wszedł do pokoju, po którym się hrabia najspokojniej przechadzał.

Widzieliśmy dziwny ów stosunek jaki ojca łączył z synem: Sylwan przywykły był obchodzić się z hrabią jak z dobrym kolegą, jak z rówieśnikiem mało co od siebie starszym, a na zupełnie jednych prawach w społeczności żyjącym. Hrabia wybuchał czasami po ojcowsku, ale Sylwan upornie się trzymał, nie dając się strącić z raz objętego stanowiska.

Ani radości, ani zdziwienia, ani oznaki przywiązania nie było w ich powitaniu. Sylwan skłonił się podając rękę hrabiemu po angielsku, ale jej Dendera nie przyjął, cofnął się, namarszczył:

— Pięknie powracasz hrabio — rzekł z szyderskim, pełnym boleści uśmiechem — czy choć wiesz z kimeś się ożenił?

— Zdaje mi się — odparł urażony tą oziębłością Sylwan.

— A mnie się zdaje że nie. Takto zawsze się kończy, gdy młodzi nie chcą się powodować doświadczeniem starszych.

— Hrabia już wie o wszystkim? — spytał Sylwan sądząc, że mowa o chorobie i obłąkaniu jego żony.

— O! są usłużni ludzie, co wcześniej donoszą o nieszczęściu. — I stary rzucił się na kanapę, zakrywając oczy rękami. — Zgubiliście mnie! zgubili! zawołał.

— Ale ona wyleczona być może — przerwał Sylwan.

— Jakto wyleczoną? z tej plamy którą nosi na czole? — zaśmiał się Dendera.

— Z jakiej plamy? — oburzył się syn.

— On nic nie wie! krzyknął hrabia zbliżając się do niego — a! nieszczęśliwy!

— O czemże hrabia mówisz?

— Znaszże pochodzenie Hormeyera? Twój ten baron był jubilerem; kto wie, z żydów zapewne wieść się musi, i jarmułkę w herbie nosi: a jego córka, twoja żona....

— Panie hrabio! — zawołał Sylwan.

— Twoja żona, mniemana wdowa, nigdy niczyją żoną nie była: była kochanką jakiegoś księcia.

Sylwan pobladł i wstrząsnął się z gniewu:

— Oszukano mnie — rzekł osłabłym głosem — ale to być nie może, to potwarz.... to zazdrość!! Kto śmiał to rozgłosić?

— Święta prawda! — rzekł ojciec.

— Na tem nie koniec jeszcze — gorzko śmiejąc się dodał syn, spierając się na stole, bo czuł że mu się głowa zawracała — żona moja zachorowała w godzinę po weselu, a odzyskując zdrowie, pozostała obłąkaną.

Stary Dendera nie rzekł słowa; zgnieciony do ostatka, przybity, spojrział na syna i łza dawno nie widziana zwilżyła mu powiekę.

Jak dzikie drapieżne zwierzęta schwyte i wsadzone do klatki, po rozpaczliwych rzucaniach leżą spokojnie złamane niewolą i upokorzeniem; tak ojciec i syn w tej chwili innemi stali się ludźmi, zobaczywszy przed sobą nieprzebrnioną przestrzeń gotujących się im boleści. Sylwan miał jeszcze tyle przytomności, że opowiedział oju stan żony, i z rozpaczą zawołał do niego o radę.

Ale co w takim położeniu poradzić było można.

Sylwan myślał zrazu napisać do barona, i zerwać z nim i mniemaną żoną swoją; ale hrabia go powstrzymał.

— Nie — rzekł — to do niczego nie prowadzi, prócz wystawienia nas na pośmiewisko ludzi. Wszystko co nas dotknęło utajonem być może i powinno; cierpmy ale śmiejmy się twarzą i udawajmy szczęśliwych. Nikt nie ulituje się nad nami, a szyderstwa, a upokorzenia ja znieść nie potrafię. Czy sądzisz, że żona twoja będzie mogła, tak jak jest znaleźć się przytomnie w towarzystwie?

— Nikt poznać nie może jej obłąkania, jak tylko nie mówi o mężu i przeszłości.

— A więc cicho! damy bal na wasze przyjęcie, będziemy się chwalić i nią i twojem ożenieniem; potem wyjedziecie do Galicji. Wszak umrzećby powinna!!



Milczeli chwilę; stary Dendera westchnął ciężko:

— Niech nikt — dodał po przestanku — nie pozna po tobie, jak nie wyczyta ze mnie, co się z nami dzieje, hrabio: dobijmy się do brzegu z honorem....

Patetycznie to wyrzekłszy, Dendera dorzucił:

— Możesz, powinieneś chwalić się bogactwem, urodzeniem, talentami, stosunkami familij żony; udawaj szczęśliwego, inaczej być nie może. Tu w sąsiedztwie nikt prócz Farureja i mnie nie wie o pochodzeniu Hormeyerów; Farurej choć zerwał właśnie z nami i z Cesią się nie żeni, dał mi słowo, że z sekretu nas nie wyda. A zatem, milczeć panie hrabio i śmiać się choćby z tego śmiechu skonać przyszło. Jedź po żonę, przyjmiemy ją jak przyjmują Denderowie: niech znają pana z panów ci hołysze! Hej! służba! — zawołał hrabia, jakby ruszony sprężyną.

Zadzwoił.

— Wielkie liberje, wszyscy! W pałacu oświecić salony, oznajmić JW. hrabinie, że młoda hrabina przybywa; kuchmistrza, niech myśli o wieczerzy. Dożyć srebra petersburskie, fernali poubierać we fraki, żeby tego więcej było w przedpokoju. Ten osioł Kumpowski jeśli nie pijany, niech weźmie ubranie szwajcara i stanie z halabardą około drzwi; jeśli pijany oblać go wodą, dać mu octu i postawić przy wejściu. Słyszycie, duchem: w pół godziny wszystko być powinno w gotowości, a nie, to sto łóz każdemu. Marszałka dworu do mnie! pokoje dla państwa młodych: kapki z krzesel i kanap pozdzierać, wielki pajak rozebrać z koszulki! I nie bawić mi się.... W wielkich sieniach i na wschodach lampy.... trzy powozy, karetą żółta, niebieska i brązowa po sześć koni zaprządz natychmiast: wyje-

dziemy przodem naprzeciw państwa młodych! Niech wszyscy widzą! niech gadają! A prędzej! — wołał hrabia zacierając włosy i upijając się sam swemi rozkazami jak za dobrych czasów — po sto łóz, kto nie będzie gotów za pół godziny!! Słyszycie?

---

Bardzo mi przykro, że od tak wspaniałego nowożeńców przyjęcia oderwać muszę czytelnika, który się może spodziewał być na wieczorze w Denderowie, i przeniósę go z sobą do blizkiego powiatowego miasteczka, do lichej izdebki pomalowanej w kraty żółte na tle niebieskiem, w której stoliczek czerwono bejcowany, łóżko pełne słomy i siana powygniatanego, dwa stołki i parawanik płócienny, nie licząc na ścianach zimy i ognia rylca owego sławnego Borowskiego, który tyle dla ścian karczemnych pracował, całą są zastawą i ozdobą.

Ale powieść jest jak życie: przechodzimy w niej najróżniejsze koleje, migają zdumionym oczom najsprzeczniejsze obrazy, z pałacu musimy przeskakiwać do karczmy, i od hrabiów do halastry. W opisanej izdebce, której atmosfera przejęta była wyziewem przykrym przepalonego pieca, mającego zagasić swąd kadzidla i szkaradnego tytoniu, siedzieli przy stoliczku na krzesłach i łóżku trzej mężczyźni, śniadający dwoma śledziami z cebulą, butelką wódki, bułką i jakąś żydowską w obrzydliwym sosie pływającą potrawą bez nazwiska. Znać było ludzi wcale w doborze środków nie wybierających, niewymyślnych i niedbających ani o czystość, ani o elegancją. Jeden talerz służył im wybornie na troje, jeden widelec spełniał troistą także po-

sługę: nie było serwetki na stoliku, a zastawa pochodziła od gospodyni żydówki. Pomimo to humor trzech śniadających panów był jak najwyśmienitszy: śmieli się do rozpuku nie zważając, że ich śmiechy i rozmowę, z drugiej izby sąsiedniej, drzwiami tylke nieszczelnymi na haczyk krzywy zapiętymi, oddzielonej jako-tako, słyszeć było można doskonale. U drzwi stał w kożuszk służący uśmiechający się z pańskich conceptów, żydek myszures, i wcale ładna żydóweczka grzejąca się przy piecu.

Dwóch z tych panów dawniej już znamy: są to niegdy rządcą w Denderowie, Smoliński, i Moregowski ów wzorowy administrator; trzeciego witamy po raz pierwszy. Ten trzeci, który siedział na łóżku i zajmował najwygodniejsze miejsce, a głosem i śmiechem towarzystwu przewodził, był ogromnego wzrostu atleta, dosyć otyły, lat pod czterdzieści mieć mogący, niebrzydki z twarzy, nieco łysawy, z wąsem nad wargą zawieszistym. Twarz jego znamionowała na pierwsze wejrzenie człowieka, któremu się bardzo dobrze na świecie działo, który przywykł do powodzenia i śmiało marszeruje drogą życia, pewien, że mu się nic stać nie może. W małych czarnych oczkach jego wiele było żywości, sprytu i złośliwości, ale wargi mięsiste, odęte, czoło nie wyniosłe, nie obiecywały, by się podnieść mógł nad pospolitą praktykę codziennego życia, nad robotę około grosza. Głowa nieco spiczasta mogłaby wedla Galla posądzać go o dumę, co zresztą wyraz ust potwierdzał. Ubrany był po podróznemu w węgierskim kożuszk, a cygarnica wyglądała mu z kieszeni na pierśsiach.

Wprawdzie poufale przestawał z towarzyszami swemi

panem Smolińskim i Moregowskim, ale znać było z protekcyjnego tonu, że się za daleko wyżej na szczeblach towarzyskiej drabiny od nich położonym uważał.

Ci panowie ostrożnie żartowali z niego, a on ich nie szczędził wcale. Śniadanie widocznie było jego kosztem podane, i on też przy niem gospodarował i zjadał najwięcej. Tym jegomością tak szczęśliwym i kwitnącym, tak wesołym i rumianych policzków, był sędzia Piotr Słodkiewicz. Nikt z pewnością nie wiedział, z kąd pochodził i z jakiej strony świata przywędrował; zjawił się od bardzo dawna z tysiącem jakimś rubli, z głową nie głupią, z wielkim zapasem śmiałości, a dziś był panem trzech wiosek, do tysiąca dusz mających, bez długów i banku. Jedni powiadali, że był synem jakiegoś kuchmistrza, drudzy mieli go za dziecko księżęcej jakiejś faworyty; ale pan Piotr wywiódł się śmiało z dziadów i pradziadów szlachcicem, został sędzią i tak mówił o sobie, jakby od dziesięciu przynajmniej pokoleń chodzili w karmazynowych szarawarach. Miał nawet ogromną pieczęć herbową z capem u góry, z osłą głową na tarczy i z jakimś godłem, które złapał nie wiem gdzie, a którego że było po łacinie, rozumieć nie czuł się obowiązany. Jak do tego majątku przyszedł, nie umiano sobie wytłumaczyć. To pewna, że wziął był dzierzawą część w Buzowie, że ją we dwa lata kupił i zapłacił gotówką, że w krótkim przeciągu czasu Buzów cały stał się jego własnością, a następnie Szarówka i Półbiedy.

Śliczneto były folwarki, w przepysznej ziemi, z lasem, z wodą, z młynami, ze wszystkim, co taką posiadłość czyni korzystną i dogodną; a Słodkiewicz gospodarzył na nich pracowicie, zabiegłe i szczęśliwie,

tak, że co rok powiększał kapitały i groził rozprzestrzenieniem się jeszcze w bardzo krótkim czasie. Ale też jak począł gospodarować w kożuszku, tak dotąd nie zrzucił go: mieszkał w dworku ekonomicznym, rządzący nie trzymał, sam po folwarkach nieustannie jeździł, najmniejszą się drobnostką zajmował, nigdy gości nie przyjmował, tylko herbatą w zielonych szklankach i krupnikiem na otłuczonych talerzach; czterema mierzynami podróże odbywał, a o grosz tak się jeszcze targował, jakby dwóch w kieszeni nie miał.

Od niejakiego jednak czasu, zwłaszcza od wyboru na sędziego, Słodkiewicz, jak się zdawało, począł nabierać pewnej ochotki do dźwignienia się i stania w szeregu dostojnych obywateli powiatu. Bywał z wizytami wszędzie, ubierał się przystojniej, a w towarzystwie dawał się słyszeć, że gdyby chciał, toby niejednego zakasował. Majątek rzadko zupełnie przerobi człowieka: zawsze na nim zostawi piętno pochodzenia i pierwsze lata przebyte w pracy i uniżeniu; jeśli umyśłem się nie dźwignie, duma nie poradzi. Trudno znów było o bardziej zardzewiałego, mniej otwartego w świecie i prościejszego w gruncie nad niego człowieka. Słodkiewicz nic prócz hreczki i rubla nie rozumiał: świata tyle znał, co się go między chatą chłopca a karczmą żydowską nauczyć można; z języka francuzkiego tylko *Monsiu* i *bon ton* rozumiał; z muzyki kozaka, a z książek kalendarz i sennik.

Wielce wątpliwem było, czy kiedy do szkół chodził: przynajmniej się to po nim nie pokazywało wcale. W towarzystwie lepszym, przyzwoitszym, czuł się jak okradziony, i albo przesadzał uniżonością, albo grzeszył gburowatością. To też najulubieńszymi dla niego

byli jego sfery ludzie, jak Smoliński i Moregowski na przykład, z którymi się wcale nie kłopotał ani o dobór słów, ani o pomysły, ani o obejście. Zaspakajał się też najprostszymi rzeczami w życiu z ochotą; zbytku nie znał ani go rozumiał: wódkę prostą razem z furmanem pił przy karczynie, strawę żydowską zajadał z apetytem, a z dziewczętami wiejskimi gotów był całymi dniami prowadzić rozmowę, nie nudząc się wcale.

Jedną miał wadę, ten tak we wszystkim szczęśliwy i powszechnie ceniony człowiek: kobieciarz był niepohamowany, ale nie sięgnął nigdy okiem i ręką nad wiejskie Horpynki, żydóweczki domów zajezdnych i garderobiane bywające z wizytą u Dobrodzieja w Buzowie. I w tem jednak okazywał ostrożność największą i oględność na jutro: wszystkim bowiem stosunkom swoim drzwi domu zamykał i kochanki swe odwiedzał, ale ich do siebie nie przypuszczał. Stara gospodyni i młody chłopak z pastucha wzięty, cały dwór jego składali. W chwili gdy go poznajemy, już pan Słodkiewicz przeszedłszy trzydziestkę, poważniał powoli: zaczynał się uszatkowywać i dawał sobie wmawiać przyjaciółom, że mając tysiąc dusz czystych, powinienby o losie pomyśleć.

Ten los, dorozumieć się łatwo, byłato żona; ale pan Słodkiewicz, jak skromnym był w żądaniach innych, tak od czasu otrzymania tytułu sędziego, zdawał się do wysokich aspirować rzeczy. Wdzięcznie nań patrzyły, nie mówię już szlachcianki, do których chętnie stroił zaloty, (ale na pusto, bo się żenić nie myślał): nawet córki dziedziców sąsiadów, nawet ta pani Halina, wdówka, o którą teraz starać się poczynał Farurej. Słodkiewicz ani zważał na zaczepki, i nie można było odgadnąć

gdzie uderzy, choć wszyscy się domyślali, że wkrótce w konkury pojedzie. Zatargował był nawet cztery szpakowate konie u Icka w miasteczku, mówił już o koczyku, który na fabryce oglądał, i targował sukno szaraczkowe na liberjã.

Najpoufalsi jego przyjaciele: Moregowski i Smoliński, oba sąsiedzi i dobrze do niego temperamentem i obyczajami dobrani, właśnie sobie potrosze żartowali z kawalera na wydaniu:

— Coto panie, pan sędzia! — wołał Smoliński mrużąc okiem na Moregowskiego — albedo jemu trzeba się bardzo kłaniać i długo targować: gdzie uderzy, to go przyjmą z ucałowaniem rączek!

— Spodziewem się, spodziewam! — odparł pan Słodkiewicz — Tysiąc dusz! Wacpan wiesz, co to wołyńskich tysiąc dusz z remanentami: to milion kilkakroć mosanie! To fortuna! he! A kto tu się pochwali, żeby grosza długu nie miał. Jeszcze taki jeden i drugi tysiąc zapaśny! he? No! a także nie jestem stary i nie takto brzydki.

— Surko, serce! — podchwycił Moregowski, do żydóweczki pod piecem stojącej odzywając się — co mówisz o tym panu? he? Nieprawdaż, że tęgi chłopiec.

Żydóweczka zarumieniona odwróciła twarz.

— A co mnie do tego?

— No! a kto lepiej o tem od ciebie wie, kiedy już od dwóch lat sędzia do tego domu zajeżdża?

Zaśmiał się Smoliński.

Służący skrył się za parawan, myszures począł gębę zatykać, a sam pan Słodkiewicz odezwał się do Sury:

— No! Suro! sądz: jak ci się zdaje?

— I! dajcież mnie panowie pokój! — ofuknęła się



ze zbytnią obraźliwością żydówka, dowodząc, że się do czegoś poczuwała.

— Coś w złym humorze — rzekł Moregowski — widać to wina pana sędziego. Ale wracając do ożenienia: tażto dalipau czas.

— Ja to sam widzę, że czas — rzekł Słodkiewicz — cóż, kiedy mi się nic nie trafia.

— Jakto nic? A pani Halina wdówka?

— Co mi po wdowie. Wiecie przysłowie: u wdowy chleb gotowy, ale nie każdemu zdrowy; a jej się podobno marszałkową być zachciało i starego Farureja naciąga! Z Panem Bogiem!

— Farurej-że zaręczony z hrabianką — odezwał się Smoliński.

— Już się rozwiedli!

— Doprawdy?

— Jakem pocziw. Ożeni się z Haliną: wdowy dla takich starych, to najlepsza zwierzyna.

Słodkiewicz się rozśmiał.

— A pan bo wysoko mierzysz widać — rzekł Moregowski — bo panien huk, jest w czem wybrać.

— Alboto nie mam prawa wybierać? — odpowiedział Słodkiewicz. — No! co myślicie: tu dla mnie nie ma partji w sąsiedztwie! ot co powiem!

— O! znowu! — zawołał Smoliński — czy nie nadto.

— Jużciż mi musi coś wnieść. A chcę pięknej i z dobrej familii: choć jedną mi taką pokażcie...

Towarzysze zamyślili się, ale w głowie ich nic się nie znalazło odpowiedniego.

— Ot kiedy Farurej zwinął kominka — rzekł na żart Smoliński — to do hrabianki Denderówniej jak w dym. Panna śliczna, i taki hrabianka, i grosz jesz-

cze jakiś będzie po niej, choć hrabia nadszastał na hrabstwo.

— A coto wacpan myślisz — obrażony żartobliwym tonem Smolińskiego rzekł Słodkiewicz — do trzech nie gadaj: gotówem się posunąć.

— Ej! zaś! — kręcąc głową przerwał dawny rządcą — chyba Denderów nie znacie: im potrzeba francuzczyzny, tytułu, państwa i grosza; na resztęby nie patrzali.

— A jak mina i grosz, to myślisz nie dosyć? — zawołał Słodkiewicz widocznie dotknięty — tytuł można sobie kupić, francuzczyzna aby kiwał głową jak gadają, a czasem *Monsiu*, a rozśmiać się, jak się drudzy śmieją: jakbyś ją miał. Nie święci garnki lepią. Cóż mi tak bardzo braknie? Myślisz, że to ja nie wiem w jakich interesach twój pan hrabia? Lepiej od ciebie bat'ku! Klucz Słomnicki mu skonfiskowali, Czeremowa za mąż poszła, synowczyk trochę zdoił, wierzyciele się upominają: taki zięć jak ja, bardzoby im się przydał, z woreczkiem! ha!

— A no co! poly zakasawszy, to i ruszaj! — krzyknął Moregowski — nuż się uda: a ta pan Słodkiewicz z grafianką żonaty, to już ani przystępuj!

Sędzia nadał się i namyślił.

— Żart żartem — rzekł — a gdybym tylko chciał?...

— Jużto bez żartu — przerwał Smoliński, dobrze znający Denderów — o tem ani myśleć.

— Czemu ani myśleć — ofuknął Słodkiewicz.

— Pan nie wiesz, co to za ludzie: ta-to inny świat! Sambyś nie wiedział na którą stanąć nogę.

— Oj! oj! Inny świat! inni ludzie! — począł urażony Słodkiewicz, — jaki mi znawca! A cóżto? czy

po dwie gęby mają? czy na czterech nogach chodzą? czy skrzydłami latają? Albowto ja już razy ze trzy w Denderowie na imieninach nie był? albowto twój kiepski graf u mnie z wizytą nie bywał, kiedym sprawę jego miał sądzić? Jakbym tylko chciał, takbym się z jego córką ożenił jak i drugi! *Aj waj! aj waj! grosse fanaberie!!*

Smoliński głową pokiwał tylko, a Moregowski rozśmiał się z niego, i przez politykę zaczął potakiwać Słodkiewiczowi; wtem dał znać myszures, że konie były zaprzężone, i przyjaciele się rozstali: ale Słodkiewicz całą drogę do Buzowa myślał o hrabiance.

Nie był on tak dalece ograniczony, żeby różnicy między sobą a temi ludźmi nie widział, ale dla niego pieniądz był wszystkim: sądził, że największe nierówności położen zasypać nim można. Obudzona urzędem i dostatkiem duma, mówiła w nim coraz głośniej; czuł się obrażony żarcikami Smolińskiego, i przybywszy do domu, tak chodził a dumal, tak sobie swój stan w korzystnych barwach odmalować umiał, że wreszcie pochichu zakończył:

— Otóż na złość temu staremu trutniowi poprobuję, a jak zechcę, to mi się uda, i musi się udać!

Nie czekając, we dwa dni potem, pan Słodkiewicz trochę się oporządziwszy, na zwiady pojechał do Denderowa. Było to już po przybyciu Sylwana z żoną, a że tego dnia rozprężone zostało towarzystwo wyjazdem Sylwana w sąsiedztwo i chorobą Cesi, hrabia przyjął gościa w swojej oficynie.

Znał on dobrze Słodkiewicza pod względem majątkowym, i jako kapitaliście, uznał stosownem nadskakiwać: bo kto może przewidzieć, czyje pieniądze na co

się przydadzą? Dendera miał cześć dla pieniędzy głęboką i wyrozumowaną. Z tego rodzaju przybyszem potrzeba było odegrać komedję całkowitą, i na skinienie pana służba poprzywdziewała liberje, wyszły na jaw srebra, wystąpiono z całym ceremoniałem dni galowych.

Ślodkiewicz z początku trochę zmieszany, biorąc to przyjęcie za dowód szacunku, rozdobruchał się, ośmielił i usamowolnił aż do zbytku. Z kolei to go strach porywał i klaniać się chciało imponującemu hrabiemu, to przypomniawszy sobie co miał w kieszeni, nadymał się i rozpierał. Ciągu i logiki w jego postępowaniu z hrabią nie było, ale Dendera nie dawał poznać po sobie, że to widział, choć w duchu śmiał się serdecznie z dorobkowicza.

Przy śniadaniu po wódce, pan Piotr puszczać się już zaczął i w koncepta, i w głośnie śmiechy, i w coraz poufalszy z hrabią stosunek: ale, że byli sam na sam, a pieniądze w nim szanował, pozwalał hrabię na wszystko.

Milo było panu Ślodkiewiczowi rozeprzeć się na hrabiowskiej kanapie i z panem grafem fajkę pałac, rozmawiać *ty a ty*: pochlebialo to jego dumie, a jednak dla podtrzymania się na tym stopniu, ciągle sobie musiał w duchu powtarzać: — Jakbym ja chciał, albowymto tego wszystkiego nie miał? he? Toć i ja taki pan jak i on, albo lepszy? Pewnie lepszy!

Hrabię nazywał go wprawdzie: mój panie Ślodkiewicz, ale tą poufale-pogardliwą formułką, nie czując jej znaczenia, wcale się sędzia nie urażał. Dendera rad był go zbadać, bo nie przypuszczał wizyty bez interesu w takim człowieku, a nietylko się domyśleć, ale nawet

przypuścić nie mógł, co Słodkiewicz miał w głowie; łechtał jego dumę na wszelki przypadek, i już poczynął próbować, czy się nie uda wycisnąć pieniędzy od drobkwicza.

— Żebyś też wiedział, mój panie Słodkiewicz — mówił do niego — coto ja mam teraz za kłopoty. Szczęściem pozbyłem się jednego, tego starego dudka Farureja, który się był do hrabianki uczepił; ledwie nie ledwie jakoś go odprawiliśmy. Ale syn mi się ożenił: musimy te austriackie grandessy przyjmować.

— Cha! cha! — zaśmiał się Słodkiewicz, który mało co rozumiał.

— Wystaw sobie — mówił dalej hrabia — tażto ten jego teść to wielka figura. Kuzyn księcia Szwarzenberga, milioner, kawaler wszystkich orderów, w. koniuszy!

— Psi ha! — rzekł Słodkiewicz — koniuszy! psi ha!!

— Jakkolwiek dom nasz i ksiąząt udzielnych się nie powstydzi — rzekł hrabia — ale mam kłopot z temi Niemcami, bo to wymyślne, przywykle do przepychu: ani temu dogodzić! A sług! a koni! Wiesz panie Słodkiewicz, że Sylwan po niej weźmie jakie ze trzy miliony, nie licząc precjozów i sreber: jedynaczka! Postawił się wysoko: mają mu dać urząd przy dworze austriackim.

— No! no! — monosylabami tylko odzywając się, przerwał Słodkiewicz.

— Ależ mnie to kosztowało — kończył hrabia — strach! nie uwierzyłybyś: te starania, ekwipaże, bale, liberje; co tylko miałem, tom w to włożył! To nie tak jak u nas polskich magnatów! Powiadam ci, że z pięć-

kroć w to wpakowałem.

— Ba! ba! — rzekł znowu sędzia — pięćkroć... parę wiosek!

— I to jeszcze pod same kontrakty! zważaj pan, panie Słodkiewicz. A póki zrealizuję papiery banku londyńskiego i weksle na Amsterdam, które mi posag płacą, potrzeba na to z pół roku!

— Pfiu! pfiu! zapewne! — ogaluszony mówił sędzia, udając, że rozumie — Londyn i Amsterdam, to gdzieś daleko!

— No! już ciż mam aż nadto na kontraktowe interesa — dodał hrabia — ale niemniej mi trudno. Nie wiesz gdzie jakiej sumki? wziąłbym na krótki termin.

— Nie wiem — odparł sędzia — w ziemię się to gdzieś pochowało. Pieniądzy ani widać.

— Zły znak, gdy kapitały się kryją! Kapitały w ruchu, w ruchu być powinny!

— Tak! w ruchu potwierdził Słodkiewicz — zapewne, że w ruchu, koniecznie w ruchu. Na to one kapitały.

— A sam tam nie masz co zapaśnego? Jakiego dziesiątka tysięcy rubli? coś w tym rodzaju?

— Tak dalece nie: człowiek w dorobku — pospieszył zafrasowany trochę sędzia — wszystko moje pokładałem, a odebrać trudno, dochody ciężkie.

— I masz słuszość! To jak ja — zawołał hrabia szybko — co mam, zaraz w coś wkładam, nie cierpię leżących pieniędzy.

Pomimo grzeczności, Słodkiewicz się rozśmiał; ale śmiech jego głupowaty był tego rodzaju, że go sobie jak chcąc tłumaczyć było można. Hrabia ciągnął dalej:

— Jak sądzisz: jakie będą kontrakty?

— Spodziewać się sanny — odparł niewinnie Słod-

kiewicz.

Dendera w końcu niecierpliwić się zaczynał, nie wiedząc czemu przypisać długą i uprzykrzoną wizytę i nie dochodząc jej celu.

— Co to jest? — rzekł w duchu — czego przyjechał i czego mi na karku siedzi? Może chce kupić którą wioskę? Zaczął więc z innej beczki: ale i z tej się nie udało; a sędzia do mroku tak wytrzymawszy hrabięgo i wysłuchawszy jego przechwałek cierpliwie, odjechał nareszcie, nie dawszy mu się zbadać.

Bliższe przypatrzenie się Denderom, co było powinno zrazić zuchwałego Prometeusza, to mu jeszcze dodało odwagi. Daleko więcej się lękał zajeżdżając przed ganek, niżeli gdy się ujrzał za bramą.

— Hrabia grzeczny — mówił sobie — bardzo grzeczny! a jak przyjmował! I o córce nawet filut stary napomknął; to znaczy, że zwąchał odrazu o co idzie. Już ciż po lichabym jechał, gdyby nie w swaty? Widoczna rzecz, że pójdzie jak po maśle: bylebym chciał, to się ożenię z hrabianką i pokażę temu kpu Smolińskiemu, że mnie stać i na taką żonę! Tylko, że to potrzeba będzie po francuzku, po nowomodnemu koperczaki stroić; ale ja-koś to będzie, nibyto umizgi nie jedno na całym świecie. Cała rzecz umieć spojrzeć, rozśmiać się, odchrząknąć, przygarnąć, wziąć w kupe, w rączkę pocałować, a reszta plewa! Chybaby oszalała, żeby mnie nie chciała. Potrafię się znaleźć, potrafię.

Moszko frak robi, rękawiczki kupię, kapelusz jest nienoszony: od lat sześciu dwa razym go miał; nie nie braknie. U Icka konie kupię i pojedę, dalipan pojedę! Niech zna Smoliński! Coto on sobie myśli, że ja na woskowanej posadzce języka w gębie zapomnę? Ale! ale!

Pan Piotr Słodkiewicz !... żonaty z hrabianką Denderówną! Jaśnie Wielmożna Piotrowa z hrabiów Denderów, sędzina Słodkiewiczowa! Tobo było pięknie! niczego! A to może być! jak Boga kocham może być, bylebym chciał! O! o! mnie nie odmówią! Głupiby byli! Muszą dać! ho! ho! ja to wiem!

I marzył tak jadąc na nejtyczance ku domowi, a co dalej, a co dłużej, to mocniej się upewniał tysiącem rozumowań, że powinien, może i musi starać się o hrabiankę. Gdyby nie Smoliński, myślby mu ta zapewne nie przyszła: teraz z głowy już jej sobie wybić nie umiał.

---



Cesia od przybycia swojego z Warszawy, a szczególnie od zerwania z Farurejem, niepodobna była do siebie: upokorzenie ją gryzło, niepowodzenie zabijało. Dręczyła się nie tak smutkiem, jak wielkim na świat gniewem.

Wacław żonaty! ona panną! ona dla niego już niczem i ani nadziei pomszczenia się nad człowiekiem, który śmiał ją odrzucić! Mylę się, miała zawsze nadzieję, miała myśli tysiączne; a zmuszona czekać z niemi i pory wyglądać, tem mocniej zapalała się chęcią postawienia na swoim. Z ustąpieniem Farureja plan pociągnięcia kuzynka, obudzeniem jego zadróści upadł zupełnie; ale nie można było znaleźć kogo innego? Wacław nie mógłże ostygnąć dla Frani? rozwieść się nawet z nią dla Cesi? Tysiączne na to były sposoby. Chodziło tylko o to, jak się znów zbliżyć do niego. Od powrotu Sylwana Denderów ośmudniał jeszcze, a że młody hrabia wcześniej dał znać Wacławowi, żeby do wyzdrowienia żony jego nie przyjeżdżał; Wacław z Franią nie spieszyli się z odwiedzinami: im tak dobrze było w Palmniku! Brzozosia nawet w niedostatku spiżarni, kur, motków i swojego gospodarstwa, już sobie była zajęcie znalazła. Potrosze i dawniej lubiła leczyć wiejskich swoich znajomych, a teraz wyszła

na zupełnego lekarza. Nie było niebezpieczeństwa, gdyż szczególniej ziół ku temu używała i w silniejsze się nie wdawała środki: a rumianek, mięta, kwiat lipowy, suszone poziomki i rumbabarum składały jej ulubioną apteczkę. Ale za to z jakąś spełniała gorliwością, jak na każdej twarzy szukała oznak choroby, jak ją wma-  
wiała niekiedy, żeby zaadministrować szklankę rumianku, lub dobrą dozę senesu! Wedle jej pojęć na nic innego chorować nie było można, tylko na żołądek; każdej słabości upatrywała w nim, i najpilniej starała się o dobry byt tego *gospodarza*. Zakarmiła, poila, okadzała, smarowała i tak jej z tem było dobrze, że w końcu pozwoliła sobie wątpić, czy doktorowie są na świecie potrzebni.

— Wydrwigrosze — mówiła coraz nabierając śmiałości — a tak się na tem znają jak koza na pieprzu! Aby żołądek był zdrow, to grunt! Dalipan! wszystko czmuty! Szklanka mięty albo rumianku. Pokomponowali nie wiedzieć jakie choroby i nazwiska! Tfu! czyste brednie! Ludzi tylko durzą! Zapisze tam jakiegoś dyweldreku, to chorobę zrobi choćby jej nie było! Jak zaczną temi *kolumelami*, temi *manioniakami* kurować, pewno że człowieka zdrowia zbawią. Święta to rzecz rumianek i lipowy kwiat. Czemu chłopci zdrowi? — bo tych lekarstw i doktorów nie znają!! Oj dałabym im, dała!

Tak nowy sobie żywioł znalazłszy, Brzozosia w nim szukała zajęcia i przestała się nudzić, niekiedy tylko gderząc na Franię i Wacława, jeśli ich nie smutnemi, ale bodaj tylko więcej milczącemi zobaczyła.

— Dziękowalibyście Panu Bogu — mówiła — kiedy wam dobrze; a co wam braknie? chyba ptasiego mle-

ka! Chyba gwiazdki z nieba czy kafelka z pieca się zachciało. Jedz, pij, ta popuszczaj pasa! Porzucicie-bo ten głupi frasunek!

Dni upływały w Palniku jednostajne a szczęśliwe. Szczęście jednostajnem być musi: ono nie pojmuje, nie wygląda, nie pragnie zmiany i chroni się jej jak wroga. Nieraz najmniejsza okoliczność, grożąca zatruciem im chwil kilku, przestraszała Franię i Waclawa: i nie zdziwim się, że zajeżdżający przed ganek powóz z Denderowa musiał zniepokoić oboje. Byłato sama jedna Cesia, którą ciekawość, rozdrażnienie, może inne jakie uczucie w głębi serca utajone, przywiodło wreszcie do Palnika, pod pozorem odwiedzenia państwa młodych. Widok tego tak do niepoznania przekształconego domku, świeżego, pięknego, smakownego, wywołał w niej zaraz uczucie zazdrości.

— I wszystko to! — rzekła w duchu — dla jednej takiej Frani, która tego ani użyć, ani ocenić nie potrafi. Doprawdy Waclaw jest śmieszny! Co też on tu porobił!

Zdziwienie większe opanowało ją jeszcze, gdy weszła do środka i zobaczyła ten przepych, pełen artystycznego wykończenia, którego wyobrażenia nie miała. W Denderowie wszystko było wspaniałe, kosztowne, bijące w oczy; tu największy komfort łączył się z nieporównanym w wyborze smakiem, barwy były doskonale dobrane, wszystko jednoczyło się w udatną całość, ze wsząd patrzyła sztuka, z poza której nie widać już było tandety i rzemiosła. Cesia oceniła łatwo smak z jakim domek w Palniku był urządzony, i poczuła, że taki kątek miłutki piękniejszym był od udawanego Denderowskiego przepychu. Zamiast olbrzymiego zwier-

ciadła w złożonych ramach, odbijającego naga ścianę, wisiały tu śliczne, pełne myśli obrazy; zamiast serwisów, porcelany i japońskich brzuchatych naczyń lub chińskich bałwanków, śliczne statuetki i grupy brązowe.

— A! dobrze to być bogatym jak on! — zawołała do siebie. — Szczęśliwa ta Frania, ale czyż ona to czuje, pojmuje, rozumie?

Myliła się Cesia sądząc, że jej niedostateczne wykształcenie dawało prawo do silniejszego lub trafniejszego uczucia sztuki. Ona bawiła się nią jak cackiem kosztownym; naiwna i poczciwa Frania pojmowała sercem i odgadywała lepiej myśl, która ożywiała utwory artystów. Nieraz Wacław podziwiał, jak z tej dziewiczej duszy prostego dziecięcia wioski, trysnął żywy promień pojęcia, jak nic nie znając, wszystko uczuć i instynktem piękne odróżnić, porównać i wybrać umiała.

Wacław i Frania pospieszyli przeciw gościowi z uprzejmą twarzą, ale z niepokojem w sercu. Zastali Cesię robiącą przegląd salonu.

— Jakżeto tu u was ładnie! — odezwała się — jak znać wszędzie artystę! A co kwiatów, a co miłych drobnostek!

— Staralem się — rzekł Wacław — żeby mi Frania za Wulkę nie tęskniła.

— Wszak mam tu i Wulkę — zawołała Frania — o! trzeba Wacława, żeby tak o wszystkim pamiętać!

To mówiąc gosposia poprowadziła Cesię, by się jej swoim prostym pokoikiem pochwalić, a raczej przywiązaniem męża, który o tem pomyślał.

— Co za pomysł oryginalny! — zagryzając usta i z ukosa wzrok rzucając na Wacława, uśmiechnęła się Cesia: *mais c'est charmant de contraste!*

Nieznacznie tak Cesia obejrzała dom cały, mówiąc sobie: mogłam mieć to wszystko, i miłość jego w dodatku! mogłam... nie chciałam!

Uwodziła się biedna; ten widok szczęścia współzawodniczki napawał ją goryczą: udawała jednak wesolą i miłą, starała się zbliżyć do Frani. Waclaw, który czuł w powietrzu jakieś niebezpieczeństwo, czuwał i nie odchodził od nich krokiem. Cesia dla niego była poufale czułą, serdeczną, zalotną, prawie do obudzenia zazdrości. Wszystko to wcześniej obrachowała, ale spokoju Frani naruszyć nie potrafiła; ta znowu nadto wierzyła w Waclawa i zbyt go kochała, żeby posądzać mogła. Niepokój w uczuciu już jest złym zawsze znakiem; kto wątpi o drugim, powątpiewa o sobie; zazdrość jest zwiastunką zdrady. Przyszła do towarzystwa cała woniejąca apteczką Brzozosia, chmurnem okiem oglądająca na pannę hrabiankę, ku której żadnej miłości czuła sympatji. Cesia mówiła wiele, szczególnie o Denderowie, o Sylwanie, o jego żonie, o jej chorobie; badając, jakiego wrażenie czynić będzie na Waclawie.

— Wiesz Franiu! jak niebezpiecznego masz męża! Biednej Sylwanowej tak głowę zawrócił, że przyjść do siebie nie może!

Mówiąc to spojrzała na Franię, która zarumieniona siedziała, ale Frania po chwili zakłopotania odezwała się z uśmiechem:

— Przynajmniej ja się temu nic nie dziwuję!

— I nie jesteś zazdrosna?

— Nie! byłabym nią, gdybym choć na chwilę posądzić mogła Waclawa; ale cóż on winien, że dziwne podobieństwo jakieś naraziło go na tę przykrość... na tę boleść.

Cesia ruszyła ramionami.

— Zbyt jesteś dobra! O! ja na twojem miejscu byłabym bardzo zazdrosną. Sylwanowa jak anioł piękna, a mężczyźni jak szatani są zmienni.

— Nie w mówisz mi strachu — odpowiedziała Frania — ale żal mi, żal serdeczny tej nieszczęśliwej kobiety! Ona tak kochać umiała.

— Ale w jakimże stanie przyjechała? — spytał Wacław — czy w istocie tak niebezpiecznie jest chora?

— Patrz Franiu, jaki ciekawy! — rzuciła Cesia. — Bez żartu — dołała — pod wielką tajemnicą wam powiem, że źle jest bardzo: rumiana, świeża, wesola, zdrowa na oko, ale... całkiem nieprzytomna. Nikt o tem nie wie, ale tak jest: biednego Sylwana nie poznaje... codzień się pyta o jego brata, codzień się go spodziewa i my go codzień obiecujemy.

Frانيا z niejaką obawą spojrziała na męża.

— Wyobrazila sobie, że nie z Sylwanem, ale z nim ślub wzięła — zawołała Cesia — zmiłujcie się tylko nikomu tego nie opowiadajcie: ojciec tak pragnie utaić to nieszczęście nasze!

Frانيا i Wacław posmutnieli.

— Ona szczęśliwa — dorzuciła Cesia — ale my z nią?! Patrzeć na tę twarz uśmiechnioną, wesolą i ciągle wyglądającą przez okno tego, którego nie ma na świecie; patrzeć na Sylwana, na ojca, na matkę, i co za przyszłość!

— Szczęściem, że choć pani długo na ten smutny widok poglądać nie będziesz — odezwał się usiłując rozmowę odwrócić Wacław — wszak termin wesela się zbliża!

— Czyjogo? spytała Cesia mimowolnie się rumieniąc.

— Twojego z marszałkiem?

— Ja za mąż nie idę! — trochę gniewnie ofuknęła się hrabianka — stary mój narzeczony był tak łaskaw, że mnie od danego uwolnił słowa... O! starałam się też o to! Jestem wolna jak ptaszek! — dodała śmiejąc się z przymusem — choć ojciec mocno się gniewał!

— Przepraszam, że o tem wspomniałem — odezwał się Wacław — alem doprawdy o niczem nie wiedział.

— Wielką mi tem sprawiłeś przyjemność — odpowiedziała Cesia usiłując okazać wesołość — byłabym się i sama pochwaliła oswobodzeniem. Miałam go dosyć! ale na chwilę uległam naleganiu ojca, nie mogąc mu się oprzeć.

Chwilę trwało przykre milczenie: przedmioty rozmowy się wyczerpały, Cesia tylko nie spuszczać celu z oka, rzucała tu i owdzie kąsajacem lub mogącem niepokój wywołać słowem. Widok tego szczęścia, tej swobody, tego wesela, jak zgryzota ją męczył.

— A! jak oni szczęśliwi! — powtarzała w duchu — jak Frania się obyla z tą atmosferą zbytku i dostatków, jak nie zachmurzyć ich nie może! A Wacław! niegodny! żadne wspomnienie nie zostało w jego piersi!... Ha! poczekam! przyjdzie kolej i na mnie; a teraz... trzeba się poprzyjaźnić, zbliżyć, serdecznie do Frani przywiązać.

Ostatni projekt poczęła od pierwszych tych odwiedzin przyprowadzać do skutku Cesia. Czuła była dla Frani, serdeczną nawet dla Brzozosi, którą sobie ująć potrafiła, bratersko-poufałą z Wacławem, kryjącym w sobie jakąś obawę, jakieś przeczucie, ale wstydzącym się zarazem podejrzeń, którym oprzeć się nie mógł. Rzuciwszy ziarna mające później plon wydać, Cesia

nareszcie obejrzawszy wszystko, znalazłszy jakiś dobry powód powtórzenia wkrótce bytności w Palniku, odjechała, przykre po sobie zostawując wrażenie. Jakkolwiek Frania wierzyła mężowi, ciężko jej było pomyśleć, że ktoś inny na świecie tak do szaleństwa jeśli nie jego, to obraz jego pokochał; smutno jej było z tą myślą podziału, Cesia umiała różnemi sposoby wywołać niepokój z jej duszy. Wacław także posmutniał przez litość, ze strachu, bo widział w bliższych z Cesią stosunkach groźbę dla swojej przyszłości.

Musiał przestrzedz Franię i wylać przed nią obawy serca. Brzozosia trochę ciekawa, niepotrzebnie go podsłuchiwała, a wytrzymać nie mogąc, gdy na Cesię narzekał, wsunęła się do pokoju.

— Już to pozwól sobie pan powiedzieć — odezwała się — że nie wiedzieć bo czego obawiacie się tej hrabianki: tażto jakieś dobre stworzenie! a taka grzeczna! a taka wesół! Cościęto do niej upatrzyli?

— Kochana panno ciwunówno, ja ją znam dawno: nic nie szkodzi być ostrożnym.

— Ale dałbyś pan pokój! ot i dobrze, że się ona tu do nas zbliżyła: czasem dalibóg u nas nudno; przynajmniej przywiezie z sobą świeżego powietrza, pogada, pośmieje się, požartuje. Ktoby się tam jej obawiał! A co ona nam zrobi? ciekawam!

Wacław się rozśmiał, Frania także.

— Jużciż was nie poróżni: a co jej z tego? Strach niepotrzebny: pluńcie i porzućcie.

Nie tyle słuchając rady panny ciwunówniej, ile pewni serc swoich, Frania i Wacław uścisnęli się w milczeniu, a Brzozosia poklasnęła jak zawsze tej oznace czułości: bardzo bowiem lubiła serdeczność między



małżonkami.

— Ot tak! to co innego! — zawołała — na psa urok! Kiedy się kochać będziecie, co wam kto zrobi? ciekawam? A tobym im oczy wydrapała! I taki się wam przywidziało, że ona wam źle życzy: ktoby Frani i Wacława nie kochał, toby był wart piekła!

---

Gdy tak jednostajnym trybem życie płynie w Palniku i w Denderowie, hrabia Zygmunt-August przysposabia się do kontraktów, namyślając się, czy mu wypadnie zachorować mocno lub nie, na nadchodzący termin; gdy Sylwan szuka rozrywki w myśliwstwie i odnawia stare w garderobie hrabinej znajomości; Cesia snuje czarną przędzę przyszłości, a Ewelina w oknie wygląda przybycia męża; baron odjechał na czas jakiś do Galicji, a hrabina Eugenia zaczytuje się w roman-sach, z których już w życiu żadnego nie zrobi użytku: pan sędzia Słodkiewicz niepomału myśleć zaczął o staraniu się o rękę Cesi. Ciągłe sobie powtarzał:

— Co temu Smolińskiemu w głowie: jak zechcę, to się ożenię. Mam tysiąc-dusz! mam tysiąc dusz!!

Wmówiwszy sobie, że to się udać może, sędzia jął się odważnie do przygotowań; a choć z rublem bardzo mu się było przykro rozstawać, zajrzał do woreczka, odżałował i począł ekwipowanie.

Wiedział tyle, że się w starym fraku i bryczką starać o hrabiankę nie wypadało. Oddajmy mu tę sprawiedliwość, że odważnem okiem spojrzął w przepaść wydatków sobie dotąd nieznanym, a dziś nieuchronnym i koniecznym. Człowiekowi, który chodził w kożuszkach i jeździł bryczną, takie mnóstwo rzeczy potrzeba było!

Kupił konie, koczyc, szory, przyjął służącego, a Moszka sprowadziwszy, przez tydzień się z nowego i starego obszywał, pewien, że wystąpi nadzwyczaj elegancko. Szczególniej rachował na jeden frak granatowy z guzikami złotymi, który nazywał *bon ton*, i na granatową także, z nadzwyczaj bogatemi wyszywaniem węgierkę, do której same potrzeby do dwóchset złotych kosztowały. Rękawiczki białe zamshowe wyprano tylko, buty zrobiono na miejscu, zwłaszcza że szewc mu się zaklął, że je po *warszawsku* potrafi uszyć. Ubrawszy się dla próby Słodkiewicz, który się nigdy jeszcze tak pięknym nie widział, uśmiechnął się do lusterka.

— Frysz chłopak! tysiąc dusz! zobaczymy! — mruknął do siebie — znaj panie Smoliński!!!

Nazajutrz wybrawszy się uroczyście, ruszył do Denderowa: w drodze namyślał się już tylko, jak począć. Dwoistą miał przed sobą ścieżkę, a nie wiedział której się jąć było bezpieczniej: czy pannę w śmierć rozkochać, czy starą fożą naprzód o pozwolenie starania prosić hrabiego. Słyszał, że po świecie i w ten i w inny sposób się to odbywało.

— Pannę zobaczę: bo już ciż na ludzkie gadania spuścić się nie mogę; a nuż krzywa? to się trafia. Nawet powiadają, że to teraz tak bestje gorsetami sztukują, że ani dojrzeć; ale ja mam oko! ho! ho! Jeśli mi się spodoba, powiem hrabiemu: ot tak, jasno, pięknie, wyraźnie; a co mam tać?

Zajechawszy do pałacu przed samym objadom, Słodkiewicz zastał w sali kilka osób gości: hrabinę, hrabiankę i starego Denderę. Wpadł do pokoju, nadając sobie najniezgrabniej minę, jaka mu się zdawała do ubrania najstosowniejszą: głowa do góry, czub w górę,

piersi nieco naprzód, ręka lewa zaokrąglona zręcznie utrzymywała kapelusz odświeżony, nogi nieco w tył, usta uśmiechały się, oczki mrużyły, a pewność siebie nadawała mu piętno tak wysokiej śmieszności, że zebrani goście, gdy wszedł, o mało nie parsknęli. Sylwan nie żenując się wcale, poczynał go zaraz przy powitaniu, jak ciekawe zwierzę, ze wszystkich stron oglądać. Stary hrabia szukał po głowie, coby go tak często sprowadzać mogło, a że mu nic nie był winien, domyśleć się nie umiał.

Słodkiewicz choć kilka razy mocno się na posadzce pośliznął, parę razy kapelusz opuścił, zębami rękawiczki zdjawszy, zasiadł w fotelu przy hrabiance.

Byłby nawet rozpoczął niezwłocznie rozmowę, rzucając się śmiało w odmet konkurów, gdyby sprężyny krzesła do których nie był przywykły, nie zrobiły mu w początku trochę niepokoju. Obejrzał się kilka razy, czy mu kto figla nie płata, czując się podniesionym do góry, poprobował uniknąć tej wygody, i ruszywszy ramionami obrócił się do Cesi.

Gdyby nie smutek i gniew w duszy, hrabianka dawno by nieocenionego oryginała prowincjonalnego wzięła za cel żartów; ale teraz nie miała do nich ochoty. Ona i Sylwan spoglądali tylko na siebie, jakby ubolewając, że interesa ojcowskie takie im sprowadzają figury. Pomimo, że Słodkiewicz łatwą sobie wyobrażał rozmowę z pannami, gdy przyszło do Cesi się odezwać, nie wiedział od czego zacząć.

— Jak na początek wiosny, porę mamy niczego! — rzekł nareszcie, sądząc że to dalej pójdzie.

— Co? — spytała Cesia.

Potrzeba powtórzenia po raz drugi tego zdania,

zmieszała Słodkiewicza; ale śmiało walcząc za prawdę, aksjomat swój wyrzekł powtórnie.

— W istocie! — odpowiedziała Cesia — ale czyżto już początek wiosny?

Sędzia, który nie pojmował życia bez kalendarza, zgorszył się zapytaniem.

— A jakże — rzekł — też tylko co nie widać jak skowronek zaśpiewa.

Skowronka wyraźnie umieścił, jako istotę mogącą wprowadzić rozmowę na tor poetyczniejszy.

— Ale djabie ładna! — rzekł w duchu — trochę błada! Niczego! niczego: toby się poprawiło!

— A ja myślałam, że to jeszcze zima — odpowiedziała Cesia ziewając — u nas zima trwa od lata do lata. Tak chłodno. — Wstrząsała się.

Słodkiewicz nie zrozumiał.

— Bredzi! — rzekł w duchu — czy tak jej edukacji nie dali, że o wiosnie i jesieni nie wie? A to dziwna rzecz, a po frauczuku szwargocze!

— Pani się zapewne zajmuje ogrodem, gospodarstwem?

— Ja? gospodarstwem? — śmiejąc się zawołała Cesia — a toby było przedziwne!

— To jest gospodarstwem ogrodowem! — dorzucił sędzia.

— Dość lubię kwiatki — miarkując się odpowiedziała hrabianka. — A pan?

— Ja także! bardzo! Mam nawet w jednym folwarku bardzo ładne astry, które mi się dostały remanentem i grosza nie kosztują... A! i piwonie! Ale mi zawsze dziewczęta pozrywają.

— Szczególniej szkoda piwonij — żartując odezwała się Cesia — pan musisz je lubić?

— A jakże! — odparł Słodkiewicz — choćto tam, my gospodarze, nie żonaci!

— To pan jesteś nie żonaty? do tej pory nie żonaty? — spytała niby zdziwiona Cesia.

— Nie miałem czasu — rzekł sędzia — proszę hrabianki: ta-to tysiąc dusz na mojej głowie, gospodarstwo; a chcąc się żenić, to wiele zabiera czasu.

— Pan masz tysiąc dusz?

— Tysiąc jedenaście pici meżkiej, tysiąc dwadzieścia i trzy żeńskich; trzy piękne folwarki, gorzelnia.

— Proszę pana, i dotąd nie żonaty! — zawołała Cesia żartując tak serjo, że Słodkiewicz ujęty łatwością rozmowy, ani się domyślał, że z niego nielitościwie drwiła.

— Już też, proszę hrabianki — rzekł uczuciowie Słodkiewicz — czuję codziennie więcej potrzebę starania się o dozoną towarzyszkę życia. Smutno mi, tęskno samemu. — Westchnął, westchnęła i hrabianka. Sędzia się ośmielił.

— Bylebym mógł znaleźć kogo, coby mi się podobał.

— I komubys pan się podobał — dodała Cesia.

— A tak! — poprawił się Słodkiewicz.

— Choćto sympatje bywają zwykle wzajemne — mówiła nielitościwa panienska.

— Bywają wzajemne powtórzył sędzia, dziwiąc się jak szło gładko. — No! tobym się zaraz ożenił. Domu nie mam, ale toby się zrestaurowało; a reszta, aby pieniądze! aby pieniądze!

— Czy nie zadaleko zajechałem? — spytał się w duchu sam siebie — ale mnie widocznie ośmiela.

— Ja pana poswataam! — odezwał się Cesia, której na myśl przyszło nastreczyć mu pannę ciwunównę.

Rozśmiał się Słodkiewicz z ukłonem, ale w tem hrabia, który się nie bez przyczyny obawiał, żeby córka nie posunęła się zadaleko w swych żartach, ujął za rękę i odprowadził sędziego.

Przy objedzie potrzeba było wielkiej wstrzemięźliwości, żeby się nie śmiać z nieszczęśliwego pana Piotra, który na potrawy patrzył ze zdumieniem i nie dawał sobie rady z niemi, póki go przykład nie nauczył co czynić wypadało. Na końcu, gdy wodę do ust podano, wychylił ciepłej filiżankę całą, a Sylwan parsknął; ale krzesła wstających zaszumiały i nikt tego nie słyszał. Zapach cytrynowej skórki uwiódł tak niebacznego!

Na cygara poszli do oficyny. Sylwan swoich gości do siebie zaprosił, a hrabia zawsze podejrzewając jeszcze Słodkiewicza o jakiś interes, poprowadził go z sobą, ażeby się zbyć co prędzej.

Wypiwszy kilka kieliszków wina, trochę weselszy i śmielszy daleko, sędzia szedł z mocnem postanowieniem proszenia hrabię, aby mu o rękę córki starać się dozwolił. Podano fajki i Dendera się zamyślił. Słodkiewicz coś opowiadał, corazto swoje tysiąc dusz wspominając nawiasowo; wreszcie wstał, i na jednej przechylając się nodze, zagaił sprawę:

— Jaśnie Wielmożny hrabia pozwoli mi... to jest... tyle mając szacunku dla ich domu... wedle starego zwyczaju... silne przekonanie... chociaż przed sobą nie taję... byłoby dla mnie wielce zaszczytnem...

Słodkiewicz tak zwykle wymowny i przytomny, nie wiem, skutkiem wina czy ciepłej wody, tak się zmieształ, że chcąc powiedzieć jakoś wszystko o razem, nie powiedział nic wcale.

Hrabia rozśmiał się dobrodusznie: pochlebiało mu bowiem zmieszanie szlacheica przed jego obliczem, a nie domyślał się jeszcze o co chodziło.

— No, mój kochany panie Słodkiewicz — rzekł tonem protekcyjnalnym — śmielej, śmielej. Cóż chcesz?

— To jest — począł drugim nawrotem Słodkiewicz — że jabym chciał się żenić.

— A czemuż nie! bardzo dobrze! — zaśmiał się hrabia.

— Tysiąc dusz! to piękna rzecz.

— I kapitały!

— I kapitały! I to rzecz bardzo piękna.

— Czas wreszcie o postanowieniu pomyśleć.

— Lysina przypomina! — rzekł uśmiechając się hrabia — choć jej jeszcze masz mało, ale sama pora!

— Człowiek pragnąłby wziąć co z dobrego domu.

— Naturalnie — poparł hrabia, nie wiedząc jeszcze do czego sędzia zmierza. — Krew! krew! to grunt!

— I gdybyś JW. pan był łaskaw — omylił się Słodkiewicz — a pozwolił mi starać się...

— O kogo? — niespokojnie spytał Dendera.

— O hrabiankę! — rzekł wreszcie Słodkiewicz.

— O moją córkę! — wykrzyknął krabia — o moją córkę!

I twarz jego dziwnie zmieniona na chwilę, skrzywiła się śmiechem szyderskim, którym wybuchnął kładąc się na krzesło i trzymając za boki.

— O moją córkę! pan Słodkiewicz! o moją córkę! A! to przedziwne! to nieoszacowane! to doskonałe! to wyborne!!

Sędzia stał osłupiały, spadłszy odrazu z trzeciego piętra.

Hrabia śmiał się i śmiał nie mogąc powstrzymać,

ale z oczu jego zaiskrzonych gniew buchał: pomiarkował się nareszcie, przyszedł do siebie i zbliżył się do Słodkiewicza:

— Mój panie Słodkiewicz, z kąd ci taka myśl przyjść mogła? Przyznaj się, ktoś ci ją poddać musiał?

— Ale ja mam tysiąc dusz — odezwał się obrażony — cóżto? dlaczegożbym... coto ja gorszego??

— Mój drogi, na Boga, nie chcę cię na śmiech wystawiać, ale to coś tak dziwnego, że nie wiem jak ci to na myśl przyjść mogło! Jesteś sobie sędzia Słodkiewicz, masz tysiąc dusz, masz kapitały, wszyscy ko to wybornie; ale ażeby sięgnąć do hrabianki Denderównej — daleko! Znam twoje pochodzenie (sędzia się zaczerwienił), wiem jak przypadłeś do grosza; już ciż to śmieszna, moje serce, pretensja, chcieć ci się bratać ze mną! Nikomu nie powiem, żeś taką niedorzeczność popełnił; ale sam widzisz, że to śmieszna pretensja.

Gdy to mówił hrabia, Słodkiewicz miał czas i rozniewać i zebrać na odpowiedź.

— Panie hrabio — rzekł — jestem szlachcic, mam majątek; zdaje mi się, że nie powinienem być obrazić pana, myśląc o jego córce.

— Ale zmitujże się! pomiarkuj! Tobie chcieć się łączyć z rodziną historyczną w chwili, gdy Denderowie połączyli się z całą magnaterją austriacką.

— No! to i ja jestem magnat, choć nie austriacki! — zawołał Słodkiewicz. — Niebardzo się też tego szczęścia będę napierał! Mnie te apostoły niepotrzebne.

Wziął za kapelusz. Hrabia postąpił krok.

— Nie gniewajże się, mój Słodkiewicz — rzekł protekcyjnalnie — jak się zreflektujesz, sam osądzisz, żeś zrobił głupstwo. Cesia ci się podobać mogła, no! ale



to wysokie progi, na twoje nogi!

— Wysokie progi — z ukłonem wynosząc się szybko za drzwi mruknął Słodkiewicz. — Wysokie progi! Tak! tak! No! no! zobaczymy, czy ich nie potrafimy ociosać! Czekał stary! Chyba żyć nie będę, to ci to podaruję! Łajdak Smoliński!

To mówiąc, w największym gniewie z Denderowa odjechał.

Hrabia siedział sam jeden i rachował: wielki aktor nie zrzucił do ostatka ubioru swej roli, i konanie czując w duszy, dogrywał jak rozpoczął z pogodną twarzą nieszczęsnej sceny swego życia. Wszystko się rwało, niszczało w jego rękach, psuło się, nikło: zapóźno postrzegł, że nikogo prócz siebie nie potrafił oszukać. Świat oddawał mu jeszcze jakąś cześć obojętną, nalogową; ale już z wejrzeń jego miarkować było łatwo, że uśmiech szyderski w każdym się skrywał ukłonie: słuchano, gdy się chwalił, ale kłamstwa przekwitwały bezowocowo. Pomimo rozgłoszeń o skarbach i nadziejach synowej, wierzyciele cisnęli się wszystkimi drzwiami: brakło nareszcie wymysłu, środków nowych, i Dendera widział się jak zwierz przyparty do drzewa, oskoczony psami, zmuszony bronić się tylko z instynktu bez nadziei ocalenia. Sto razy rozpoczynał rachunek i po stokroć dochodził do jednego wypadku: z całej fortuny mozołnie dźwigniętej do kolosalnych rozmiarów, zostawało zero okrągłe. W najszcześniejszych przypuszczeniach mogło się ocalić jakie sto, półtorakroć sto tysięcy, lecz czemże to było dla hrabiego Dendery?

Wszystko go zawiodło: przyjaciele, ożenienie syna, Wacław, córka, a co najgorzej własne rachuby. Kłamać już zaczynał sam sobie dodając ducha, ale czuł,

że to do niczego nie prowadzi.

Po odprawieniu Słodkiewicza, hrabia dni kilka wydychać go nie mógł: nie powiedział nikomu o tem, ale był boleśnie dotknięty.

— Słodkiewicz do Cesi! — powtarzał — jakże nizko upaść musiałem, kiedy ten dorobkowiec, syn jakiegoś kozaka, śmiał pomyśleć o mojem dziecięciu! Padam ofiarą mojej dobroduszości — dodawał grając przed samym sobą komedją jeszcze: nie popełniłem żadnej nieuczciwości, i to mnie zgubiło!! Na świecie wiedzie się tylko łotrom, prostą drogą idąc, nie można się spodziewać zejść daleko.

Przecież Wacław, dla którego uczyniłem tyle — rzekł sobie Dendera będąc pewien, że dlań istotnie wiele zrobił — powinien mi dopomóc. Krew nasza, ma miliony, ocalić mnie musi: potrzeba mu się przyznać, niech ratuje...

Namyśliwszy się, ze ściśnionem sercem ruszył do Palnika Zygmunt August, gdzie dotąd okoliczności różne być mu nie dozwoliły. I on na widok cichego szczęścia wśród dostatku, uczuł to ściśnienie serca, którego doznała Cesia, które nieraz goryczą napelniało Sylwana, gdy o Wacławie myślał. Nie brak mu było grzeczności, nie stracił ani humoru, ani przytomności umysłu: chwalił, zalecał się, gosposię w ręce całował; wreszcie wysypawszy pochlebstw bez liku na wszystkie strony, wziął Wacława do jego pokoju.

— Słuchaj — rzekł do niego, gdy pozostali sami — niespodziana tu przywodzi mnie potrzeba: w rękę twoim los naszej rodziny. Nie będę kłamał przed tobą, jestem zrujnowany.... ratuj... ratuj honor rodu!

Wacław zbladł zaskoczony tak znienacka, zamyślił

się, ale doświadczenie kazało mu być ostrożnym.

— A posag Sylwanowej? — zapytał.

— Zmyślenie — rzekł Dendera — pensją jej dano, nie posag. Konfiskata klucza Słomnickiego, nieurodzaje, spekulacje w które mnie wplątał Smoliński, nareszcie moja własna dobroduszość i zbytek delikatności, stawiają mnie dziś nad brzegiem przepaści.

— Ale czemuż ja hrabiego poratować mogę? — otwarcie rzekł Wacław. Nie jestem w stanie dać mu majątku, chyba bym sam się go wyrzekł; przyszłość własna dziś z losem żony spojona, nie dozwala mi ofiar, na jakiebych się zdobył może, nie mając obowiązków. Sylwan i tak mi jest dłużnym, co miałem tom użył na kupno papierów, ulokowałem w bankach lub rozporządziłem tem ostatecznie.

— Ja wiele nie żądam — rzekł hrabia — często jeden szczęśliwy obrot postawić może na nogi człowieka. Sylwan mnie zrujnował, kontrakty pod bokiem, a grosza nie mam w kassie.

— Jakież są żądania hrabiego? — spytał Wacław.

— Nadzwyczaj skromne — odpowiedział Dendera — weźmiesz u mnie Ciemiernę w dwóch kroć, lub skwitujesz mnie z tej sumy przed aktami, zaspokajając się honorowym skryptem prywatnym.

— Ciemierna może nie warta tyle, ale...

— Zmiłuj się, dla ciebie warta!

— Biorę więc Ciemiernę — rzekł Wacław — nie patrząc i nie targując. Jest to grosz Frani, ale ja jej co tu straci, zapewnię z mojego.

Hrabia ścisnął go za rękę z uczuciem, pierwszy raz w życiu postrzegłszy, że gdzie podstępna komedja na nic się nie przydała, tam otwarte postępowanie dopro-

wadziło go wprost do celu, bez mozołu i zabiegów.

— I pożyczysz mi sto tysięcy gotówką — dodał Dendera, widząc że z Wacławem szło tak łatwo.

— Nie mam ich....

— Nie masz? no! to mniejsza: o Ciemiernę kończym jutro, pójdzie echo, to mi w interesach pomoże.

— Rzecz skończona.

Z rozweseloną twarzą stary frant powrócił do domu; znowu rozpoczął rachunki, i już widział w nich większą dźwignienia się nadzieję. Przyszła mu na dobitkę myśl szczęśliwa, szukania dóbr do nabycia dla Sylwana.

— Poślę po Smolińskiego — rzekł — to papla a głupi: przez niego się rozniesie, że majątek chcę kupić i ludzie mi się będą prosić z kapitałami, ale u nikogo nie wezmę! nie wezmę! Powiem, że z pieniędzmi nie mam i tak co robić!

Natychmiast więc konny kozak ze dworu z bilecikiem pojechał do Smoły, a dawny rządca i pełnomocnik, ciekawy poco tam mógł być potrzebny, pośpieszył do pryncypała.

— A co Smoło! zawołał na niego hrabia, przybierając twarz rozweseloną — ani się domyślasz, co się święci! Choć cię dobrze znam i wiem żeś kręciel.... — Smoliński się uklonił.

— Zbytek łaski pańskiej.

— No! no! nie żartuję, że się bez ciebie obejść nie potrafię. Słuchajno! nie wiesz jakich znacznych dóbr na sprzedaż?

Smoliński wielkie wytrzeszczył oczy i uszom nie chciał wierzyć; hrabia tymczasem bajkę jak najprawdopodobniej w głowie układał.

— Bo widzisz — rzekł pocichu -- z temi Hor-

meyerami to jak z żydami sprawa: mówię o teściu Sylwana. Bogate to, na milionach siedzi, ale gdzieś zwąchali, że moje interesa zawikłane...

— Istotnie trochę zawikłane — szepnął Smoliński.

— I posagu mi dać nie chcą, aż go zaraz na kupionej ziemi im nie zahipotekują. Patrz jacy rozumni; nie w ciemnię ich bito!

— No! no! — trochę niedowierzając, ale kombinując w głowie okoliczności zawołał Smoliński.

— A dużych to dóbr potrzeba?

— Na półtorakroć sto tysięcy rubli. Widzisz Smoło kochany, głupi oni są: bo byle im ewikcja, dadzą potem plenipotencją Sylwanowi, wsuniemy im pozwolenie wzięcia w banku, i ja się zaraz pożywię.

Smoliński który tak całkowitego, olbrzymiego kłamstwa nie przypuszczał, spojrział w oczy hrabiemu i chciał z nich na mocy dawnej znajomości wyczytać, czy to być mogła prawda; ale Dendera tak mu się zamaskował, że Smoliński w końcu dał się uwieść i w głowę się poskrobał.

— Toby się upiekło ślicznie! — rzekł.

— I upiecze się — podchwycił hrabia — tylko mi co wyszukaj: dam ci porękawiczne po rublu z duszy; a prędko, a gładko.

Smoliński się uklonił, obietnica dobiła go.

— Ja zaraz szperać pocznę, czy się co nie trafi — rzekł — Ale, ale... zająknął się.

— No, co tam za ale.

— Już kiedy tak, to się taić nie będę.

— A cóż tam za tajemnicę masz zanadą?

— Pan hrabia znasz Słodkiewicza — rzekł po przestanku — eks-rządca.

— Znam go trochę.

— Nie wiem, co on tam ma do hrabiego.

Dendera śmiać się zaczął.

— Co ma, to ma: mnie to wiedzieć. A cóż?

— Ten łotra kawał, spiknął się na pana hrabiego.

— On! jak?

— Wszak on długi nabywa na Denderowie i przysiągł, że do licytacji doprowadzi!

Hrabia pobladł.

— Długi na Denderowie! — zawołał — ja płacę każdemu kto zażąda! Mam w kassie sto tysięcy, na kontrakta Waclaw mi dał weksel do swego bankiera bez ograniczenia: któż śmie zbywać moje długi!

— Wszyscy je zbywają....

Hrabia zmieszał się jeszcze bardziej.

— Jakto, już nabył?

— Przeszło półtorakroć: dziś pojechali do Palnika...

— Co? do Waclawa?

— Tak jest, i te dwakroć chce kupić.

— To rzecz skończona: dałem mu Ciemiernę.

— W dwóchkroć? — spytał Smoliński uśmiechając się.

— A co myślisz: wziął w dwóchkroć, i jeszcze podziękował! Głupi! kapitalnie głupi: trzeba tylko wiedzieć, jak z nim gadać!

— Jak Boga kocham — zawołał eks-rządca — z hrabią nie ma co się borykać! Sto razy było kuso, zawsze JW. pan staniesz na nogi!

Dendera uderzył się w czoło.

— Bo głowa jest! — rzekł dumnie. — Ale mów mi o tym przeklętym Słodkiewicz... Nie możnaby na niego użyć jakiego środka.... to łajdak.... To mnie mocno niepokoi: gotów mi szyki pomieszać.... Spłacę go

to prawda, ale zawsze to mi zrobi różnicę.... Nie można by ?....

— Nic nie można — odparł Smoliński — zaprzysiągł się, że choćby miał stracić kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy rubli, na swoim postawi.

— Czegoż on chce? — spytał hrabia mieszając się coraz bardziej.

— Albo ja wiem? — ruszając ramionami szepnął Smoliński.

Dendera żywo zaczął się przechadzać po pokoju, aby pokryć niespokojność, która go opanowała.

— Słuchajno! — rzekł do Smolińskiego — ty wiesz o co poszło temu....

Smoliński się rozśmiał i usta zakrył.

— A! francie! wiedziałeś o wszystkim!

— I wyprorokowałem, co z tego będzie....

— Ale bo mnie ten twój Słodkiewicz nie rozumiał: rozgniewał się, polecał.... Słuchaj — pocichu począł zbliżając się do niego — powiedz mu, niech do mnie przyjedzie, możemy się porozumieć, pogadamy.... coś.... A teraz żegnaj cię Smoło — zakończył Dendera czując, że dłużej ukryć nie potrafi wzruszenia — pamiętaj o co cię prosiłem... pamiętaj...

Eks-rządca cicho wyniósł się za drzwi.

Jak tylko wyszedł, Dendera padł na kanapę, sił mu już brakło do walki. Strach paniczny, strach jakiś przecuciowy wstrząsać nim począł: chwycił się za głowę, ściał zęby i nieruchomy jak wkuty pozostał w niemej rozpacz. Kilka godzin upłynęło nim przyjść potrafił do siebie. Być zmuszonym, jemu! traktować ze Słodkiewiczem, gburowi dozwolić starać się o rękę córki! poświęcić dumę rodową i arystokracyjne swe pretensje



obawie ruiny! Tego hrabia przenieść nie mógł, czuł się tak upokorzonym, tak zgniecionym, że śmierci zapragnął.

— Ha! dziej się wola Boża — zawołał dźwigając się sił ostatkiem — nie pierwszy to ja, nie ostatni na coś podobnego zgodzić się muszę.... Niech się osioł stara: ugłaszczę go, ale wprzód umrę nim pozwolę na to, żeby gbur ów sięgnął po rękę Cesi.... Ja nie wiem co za nieszczęście wplątało się w losy nasze: pijmy czarę do dna, choć niezasłużoną!

Nazajutrz potwierdziła się nowina udzielona przez Smolińskiego: hrabia posłał od siebie dla dowiadywania się o nabyciach, i przekonał się, że korzystając z czasu sędzia pokupował co najniebezpieczniejszych jego wierzycieli. Złowroga cisza panowała nad Denderowem: nikt nie dokuczał, ale widmo Słodkiewicza z obligami w rękę stało wciąż groźne przed oczyma hrabiego we śnie i na jawie. Czekał niecierpliwie skutku narady ze Smolińskim, przybycia nieprzyjaciela, a nic nie widać było... Nareszcie po kilku-tygodniowym oczekiwaniu zjawił się eks-rządca, ale sam jeden. Hrabia tak był niecierpliw, tak stracił ostrożność swą zwyczajną, że przeciw niemu do sieni wyleciał.

— A co, Smoło? — zapytał miarkując się i poczynając od mniej ważnego? — Jest jaki majątek?

— Majątek się znajdzie, byle pieniądze — odparł Smoliński.

— Masz co?

— Będzie Hulajkowszczyzna, 800 dusz; Przeręby dusz 500; Siemionówka...

— Ale to wszystko małe! — wykrzyknął hrabia, czekając czy sam Smoliński nie powie co o Słodkiewiczu; a widząc że ust nie otwiera, w ostatku sam

zagadnął. — No! a Słodkiewicz? widziałeś go?

— A, widziałem! — pocichu odparł Smoliński.

— Kiedyż przyjedzie?

— On bo nie myśli przyjechać — pocichu rzekł eks-rządca.

— Jakto? dlaczego?

Przykro się widać było Smole tłumaczyć: skrzywił się, począł czmychać.

— At! ani chce słuchać! — wybąknął.

— Prosić trzeba pana Słodkiewicza! — wybuchnął z gniewym hrabia — i nie raczy... ha! ha!

— To głupi człowiek! — rzekł Smoliński.

— Widać to, nie ma co i mówić; ale nie szczędź mnie waćpan, mów, jak to było?

— A cóż JW. hrabio — ozwał się stary wyga — pojechałem do niego wprost z Denderowa, pragnąc jak zawsze służyć panu; zrazu nie chciałem go wbijać w dumę i tak kołowałem, chcąc się dowiedzieć co on sobie myśli. Ale i nic gadać z nim, szkoda gęby... Zajadł się, zaklął. Już słyszę do 40.000 rubli nabył.

— Oszalał! — krzyknął hrabia — nieprawnie!

— O! on formy wie. Wziął przelewy legalne, i powiada, że jak pieniędzy na termin nie odbierze, proces wytacza i do licytacji Denderów doprowadzi.

Rozśmiał się hrabia, ale cicho, ale niezręcznie, ostatkiem siły. Smoliński spojrział tylko i przeczytał w jego twarzy — ruinę.

— Powiedz-że mu jeśli się z nim zobaczysz, mój kochany Smole — odzyskując przytomność rzekł hrabia — że z niego kpię i prosiłem cię, żebyś mu to powiedział.

Gdy się ta burza gotuje na Denderów, życie w nim na włos się nie zmieniło, nie zmniejszyła wystawa; a dla zdaleka patrzących hrabia był zawsze owym wielkim panem co dawał bale i gasił przepychem całe sąsiedztwo. Dla gości miał twarz wesołą, w salonie zdawał się milionerem, mówił o groszu z pogardą i dalekie osnuwał projekta, jutra nie będąc pewien. Sąsiedzi ciekawi poznać młodą hrabinę zjeżdżali się tłumnie, pokazywano im ją niekiedy, ale z niezmierną sztuką i staraniem, żeby się przed niemi z jej obłąkaniem nie wydać. Zwykle Sylwan szukał powodu, żeby nie być w salonie. Ewelinę wprowadzano w dobry humor, a gdy mówiła o mężu, wszystkim się zdawać mogło, że wspomina o Sylwaniu. Zresztą Cesia i hrabina tak jej słowa tłumaczyły, że nikt w nich nie widział nic niezrozumiałego i nie domyślano się, co to szczęście kryło w sobie łez i przeleństw, strapień i goryczy. Młodzi ludzie zazdrościli Sylwanowi tak pięknej i bogatej żony; unoszono się nad jej wychowaniem i wybornym wielkiego świata układem: nikt nie posądził, że cały ten obraz był kłamany!

Sylwan grał komedją jak drudzy: wstydził się że został oszukany, i musiał szczęśliwego udawać, tak jak Cesia rozpowiadała, że dopiero się uczuła swobodną, gdy się Farureja pozbyła; tak jak stary hrabia kupował majątki.

Ale gdy się rozeszli z salonu, gdy oczy obcych nie ciążyły nad niemi, ileżto łez gorzkich wylało każde z nich przeklinając los, gdy siebie tylko przeklinać było powinno! Żaden związek serdeczny nie łączył ich z sobą, żadne z nich nie podzieliło się wywnętrzeniem przed drugim: każdy dźwigał swój ciężar samotnie.

Sylwan zobojętniały dla żony, którą gdy się nią chwalić nie było potrzeba, opuszczali wszyscy w jej pustych pokojach na górze, poruczając ją staraniu sług i jedynej towarzyszki, która jej nie odstępowała; Cesia chodziła czasem śmiać się z obłąkanej, potakiwać jej lub rozdrażniać ją; stary widywać jej nie chciał, matka niecierpiała. Mąż większą część czasu spędzał na zabawach w sąsiedztwie, na polowaniach, hulance, umizgach, lub na sofie w swoim pokoju drzemiąc i paląc cygaro.

Jedno o drugim niewiele wiedziało, i syn o sprawy ojca, ojciec się o czynności syna nie troszczył. Spotykali się zimno, rozstawali obojętnie, ani usiłując wybadać co komu ciężyło, ani myśląc dopomóc. Ruina wisiła nad Denderowem, a Sylwan pojęcia nie miał co im groziło. Wychowany w kłamstwie i fałszu, uwierzył, że był wielkim panem i żył stosownie do tego; trocha pieniędzy zachwyconych u Hormeyera zrobiły mu kredyt, ciągnął więc nim, nie frasując się o jutro.

Nadeszły nareszcie kontrakty. Hrabia rozmyślał długo czy zachorować, czy nie, co robić? Nie chciało mu się leżeć w łóżku, nie pojechał więc, nie posłał nikogo, i został w domu urągając się burzy. Prawda, że dziś ciężko się było od niej wywinąć, bo niemal z jednym Słodkiewiczem pozostawało do czynienia: tak się bowiem uwinął, że prawie wszystkie hrabiowskie długi miał w kieszeni.

— Niechże pozywa — rzekł sobie hrabia — kiedy wojna to wojna, wyrabiać się będę. Rok potrwa proces, mogę krzyczeć, zapłać; przeciągnę i będzie mądry, jeśli za lat trzy licytacji doczeka się. A tymczasem! ho! ho! tymczasem osioł, król albo ja umrę!

Mówił to, ale znać było, że został przywiedziony do ostateczności: on, co dotąd kazał się prosić o przyjęcie pieniędzy tak na nie polować umiał, teraz musiał uciekać się do wybiegów, pieniać po sądach i przyznać się prawie do niewypłacalności. Tłumaczył się, ale już nie tak gładko.

— Wielka rzecz, podstępem kogo zgubić! Gdyby w banku angielskim zażądano razem brzęczącej monety za wszystkie jego weksle, musiałby zbankrutować! To spiszek niegodny! Zresztą miło mi, że prześladowany, czyste przynajmniej zachowałem sumienie!

To mówiąc, uderzył się w piersi z ruchem teatralnym. Interes ze Słodkiewiczem tę miał jeszcze dlań dobrą stronę, że wymawiając się nim, mógł hrabia nie płacić nikomu.

— Gdyby nie ten człowiek, gdyby nie ten pieniacz, bądźcie panowie pewni, że zadośćbym uczynił zobowiązaniom: ten prześladowca zmusza mnie do zawieszenia wypłat; ale mu dowiodę fałszu, nielegalności i podstępu.

W takiej kaszy, której sobie nawarzył nieszczęśliwy Dendera, codzień krytyczniejszy widząc koniec, doczekał się powrotu barona Hormeyera. W nim był jeszcze ostatni promyk nadziei, słaby wprawdzie, ale jedyny: tonący się brzytwy chwytą. Z nim jeszcze, z obcym, grać było można swą rolę. Dendera powitał go smutny i wraz z przybyciem jego począł nadzwyczajnie być czułym dla synowej, której od kilku miesięcy nie widział. Ale baron od osób ją otaczających dowiedziawszy się, jakie życie wiodła w domu męża, nie dał się uwieść pozorom troskliwości i przywiązania.

— Żyd musi mieć pieniądze — rzekł sobie hrabia — mają klejnoty, srebra: niech zastawi, niech sprzeda;

powinien nas ratować!

W kilka dni spotkali się oko w oko dwaj zapaśnicy: hrabia dumny i pewien siebie, baron chłodny i pokorny. Dendera zaczął od odmalowania mu prześladowania, którego padł ofiarą: zrobił z tego historyjkę tragiczną, umalował ją, powiększył, i po półgodzinnej przemowie, wysłuchanej przez Hormeyera z cierpliwością przykładną, zakończył prośbą o ratunek: żądał tylko pół miliona.

Niemiec ani drgnął, ani się zadziwił, ani dał poznać po sobie co odpowie: milczał, wahał się, nareszcie dobył z piersi głosu:

— Panie hrabio — rzekł — małżeństwo syna pańskiego nie daje mu żadnego prawa do mojej kieszeni, zawarte w nieszczęśliwych okolicznościach, zerwać się musi. Córka moja nie znalazła ani w nim, ani w was, serca i litości, jakaby zjednała nawet u obcych. Za cóż mi płacić każecie?

— Za imię, które nosicie! — z dumą wspaniałości pełną, lakonicznie rzekł hrabia.

Baron ruszył ramionami.

— Nie staraliśmy się o ten honor i nie dobijaliśmy się o połączenie.

— Myślisz waćpan — rozgrzewając się rzekł hrabia — że ja nie wiem kto wy jesteście?

Baron się rozśmiał posępnie.

— Doprawdy? — rzekł.

— Wiem wszystko! wymówił hrabia.

— I wiesz pan zapewne, że jestem rodem z Lipska, że ojciec mój był jubilerem, że żona moja była córką bankiera, a córka jest wdową po księciu. Pozwalam panu rozgłosić to, gdy mu się podoba.

— A nacóżeście udawali to, czem nie jesteście?

— Byliśmy czem jesteśmy, nic więcej; a w dodatku miło mi wyznać, żeś najniższym pańskim sługą.

Baron uklonił się i wyszedł, a Dendera nie miał już go czem gonić prócz przekleństwa.

Tegoż dnia Hormeyer kazał się przysposabiać ludziom swoim do podróży, a wiadomość ta silnie wstręśli całym Denderowem. Nie mówiąc już o stracie dochodów hrabiny Sylwanowej, szło o to, jak się przed ludźmi ze zniknięcia jej wytłumaczyć!

Sylwana nie było w domu. Natychmiast kozak poleciał po niego z ustnem poleceniem, ażeby bez zwłoki się stawił, dla najpilniejszej sprawy. Nieprzywykły do posłuszeństwa czyjejkolwiek woli, młody hrabia na ten raz jakby przeczuł potrzebę powrotu, siadł do powozu i pospieszył do domu.

Zastał ojca, który swoim obyczajem, po pierwszym wzruszeniu szukał już w głowie środków skorzystania z wypadku, który im groził.

— Słuchaj Sylwanie — zawołał w progu Dendera — nie mamy co skrywać przed sobą tego, co boli: potrzeba się naradzić i działać wspólnie. Baron Hormeyer wywozi twoją żonę.

— Niech ją wiezie! — obojętnie rzekł Sylwan — a cóż mi to szkodzi?

— Co ty mówisz? Zrujuowaliśmy się na to ożenie, które nam grosza nie dało: jeżeli jejność ma ochotę umierać, a umrze pod naszymi prawami, weźmiesz po niej spadek legalny, siódmą i czwartą. Z siódmą się nie pożywisz, ale czwarta z klejnotów i sreber może nas podlatać. Oprócz tego, póki ona tu, mamy prawo do dochodów, a przyznam ci się, że tego po-

trzebujemy, bo źle jesteśmy w interesach.

— Źle w interesach? — spytał Sylwan — pierwszy raz to słyszę!

— Boś słyszeć, i widzieć, i pomagać mi nie chciał nigdy — odparł hrabia.

— Nic nigdy nie miałem w rękę; przynajmniej hrabio mnie obwiniać nie możesz.

— Ale twoje ożenienie, twoje ożenienie!

— Kilka tysięcy dukatów nie rujnuje takiej jak nasza fortuny.

— Kilka tysięcy! śnisz hrabio. Ale wróćmy do Hormeyera. Wyjeżdża, nie możemy wypuścić twojej żony, nie powinniśmy; wskazałem ci dlaczego. Oprócz tego, co ludzie powiedzą?? To być nie może. Musimy ją zatrzymać. Niech sobie baron jedzie do stu tysięcy... ale nie ona, nie ona.

Sylwan uderzony był praktycznym i innym poglądem ojca na skutki odjazdu, i pierwszy może raz w życiu zgodził się na to, czego żądał. Wyszli więc oba do barona, który nie zważając na nic, doglądał wyboru w drogę.

Milcząco, grzecznie, przyjął ich Hormeyer, ale sam słowem nie zaczął.

Hrabia naprzód wystąpił z oracją.

— Panie baronie — rzekł — mówiłem i powtarzam to wraz z synem moim, że nie tamując swobody pańskiej i jego chęci podróžowania, synowej mojej na odjazd pozwolić nie możemy.

— Ja żony nie puszcę — dodał Sylwan.

— Chcesz, żeby tu pod nielitościwym, niegościnnym dachem waszym, opuszczona, zapomniana umarła — odezwał się baron głosem wzruszonym. — Jacyż ludzie



jesteście, gdzie są serca wasze? Mielżeście litość nad nią? Nie dziwię się starszym, ale ty...

— Cóż pan chcesz, bym z warjatką siedział? — odparł Sylwan.

— Szanuj pan wolę Bożą, która mnie i ciebie dotknęła! Nie oszukiwaliśmy cię, nie pociągali, opierałiśmy się owszem, zezwolili niechętnie, któż mógł przewidzieć, jak się to smutnie skończy!

— A gdy się skończyło tak smutnie — dodał hrabia — już tu nie czas płakać i rozczulać się. Sylwan nie puszcza jej jako żony, i choć koło niej nieodstępnie siedzieć nie może, mości baronie, zarzucić mu nie potrafisz braku serca. Właśnie, że ten widok go jątrzy i goryczą napawa, siedzieć przy niej nie może. Ale to mniejsza: inną ja mam kwestję jako ojciec rodziny, jako stróż ich przyszłości. Myśmy się podrujnowali na to ożenienie i zerwać go tak nie możemy, waćpan wywieziesz córkę, a my mamy zostać ze stratą, jakąśmy ponieśli?

Baron podniósł oczy od walizy, w której papiery jakieś układał, i smutny śmiech skrzywił mu usta.

— A! otóż jesteśmy na gładkiej drodze: trzeba się wam wykupić!

— Waćpan mnie dotykasz osobiście! — krzyknął hrabia — co to za mowa?

— Mowa jasna i zrozumiała, nic więcej: nazywam rzeczy po nazwisku; wpadliśmy w zasadzkę i okupu z nas chcecie, nieprawdaż?

— Zostaliśmy oszukani! — dumnie rzekł hrabia — zawiedzeni boleśnie, dotknięci.

— Na co słów tyle? Mówmy jaśniej, może się porozumiemy.

— Ja żony nie puszczę! — przechadzając się do-  
rzucił Sylwan, który ze znużenia poziewał.

— Nasze straty pieniężne są ogromne — począł  
hrabia — Sylwan mnie zrujnował.

— Nie potrzeba było bogatych udawać! — gorzko się  
uśmiechając zawołał baron.

— Zresztą — zawołał hrabia — gdy kobiecie nie  
mającej nazwiska ni stanu, ucziwe imię dajemy na  
okrycie jej przeszłości, mości baronie, to coś warto!

— O! przekupnie! przekupnie! wszystko sprzedają, a  
mnie, żem klejnotami handlował, nazywacie żydem!  
Czemże wy nie handlujecie? wstydem, imieniem, su-  
mieniem, spokojem!

Hrabia udał, że nie słyszy i nie rozumie, Sylwan  
mruczał swoje: nie puszczę! żona moja! mam do tego  
prawo zupełne, wezwę pomocy legalnej, to żona moja!

Gdy się tak targują, a baron niespokojny przerzuca  
papiery swoje, boczne drzwi pokoju otwarły się i Ewe-  
lina wbiegła do ojca. Któżby się potrafił domysleć spoj-  
rzawszy na nią, że pod tą powierzchownością wesołą,  
dziecinną, świeżuchną, kryła się boleść tak głęboka,  
spowita szalem niewyleczonym. Jakże jej było ślicznie  
po podróznemu ubranej: w maleńkim czepeczku, z klu-  
czykami u pasa, z kapelusikiem w ręku, wesołej,  
uśmiechnionej i żywo krzątającej się około pakunku.  
Hrabia i Sylwan spojrzeli na nią: ona ich przywitała  
jak obcych z daleka.

— Nareszcie — odezwała się srebrnym głosikiem —  
nie będziemy państwu dłużej siedzieć załogą: jedziemy,  
jedziemy, a ja radabym, przyznam się, już tu nie być,  
i na skrzydłach ztąd odlecieć! Tak dawno go nie wi-  
działam!

— My panią nie puścim — odezwał się niby grzeźnie, na ojca spojierając stary Dendera.

Ewelina wzięła to za żart i uśmiechnęła się tylko. Baronowi łza ciekła po twarzy, ale milczał.

— Ojczy! wszystko gotowe, jedziemy! Konie kazałam zaprzęgać, ja się tu duszę, powietrze tak ciężkie, tak mi tu obco, tak się czuję daleko od tego, za czem tęsknię!

— Pojedziemy dziecko moje, za chwilę, ale zostaw nas samych: mamy ważne sprawy.

Ewelina spojrzała po twarzach wszystkich, posmutniała i zbliżyła się do drzwi. Sylwan spróbował się zbliżyć do niej.

— A pan — spytała go pocichu — czy jedziesz z nami do swego brata księcia?

— Ja? Nie wiem.

— Zostajesz tu! a! umrzesz: tu tak nudno! Jedź z nami! jedź z nami!

— Ewelku! serce, zostaw nas -- niecierpliwie zawołał baron — każ pakować, każ zaprzęgać, bądź gotowa: za chwilę cię zabieram. Jedziemy.

Z podskokiem, obejrzawszy raz jeszcze całe towarzystwo rzutem oka, pełnem na pozór przebiegłości, baronówna uśmiechnawszy się, znikła drzwi zamykając za sobą.

— I nad nią, nad tym aniołem ze złamanemi skrzydłami, nie mieli litości — szepnął baron — o! zbójcy!! — Obrócił się do hrabiego.

— Rozpoczęliśmy targ, kończmyż go — rzekł zimno — wieleście panowie stracili? Co kosztuje honor noszenia imienia waszego? ile za mieszkanie? co za jedzenie? wiele za doznany zawód? Zapłacę rachunek!

Dendera podumał.

— Mości panie — rzekł — te są wyrazy, które zmyć będzie krwią potrzeba!

— Czem się panu hrabiemu podoba! O tem potem, a teraz odjeżdżając, proszę o rachunek!

Hrabia się mieszał.

— To nie jest sposób traktowania z takimi ludźmi jak my — zawołał. — Sylwan, jako teścia, szanować cię musi; ja, gospodarz domu, gościa w tobie widzę: inaczej, panie baronie!...

— Gościa! Z prawdziwie słowiańską przyjęliście mnie gościnnością — odezwał się baron, ciągle układając papiery. — Ale mnie czas jechać!

— Moja żona nie pojedzie, choćbym miał użyć w pomoc władzy sądowej.

— Nie radbym robić zgorzenia i przykrej awantury — dodał hrabia — ale przestrzegam barona, że posłałem po urzędnika i protestować będzie.

— Mości panowie — zniecierpliwiony wykrzyknął Hormeyer — ja nie mam czasu grać z wami scen jakichś: rozumiem do czego to zmierza; rozpoczęliście targ, dobijcie go. Co chcecie? krótko i prędko!

— W ten sposób honor mój traktować nie dozwala! — rzekł hrabia — Waćpan mnie obrażasz co chwila!

Baron się zżymnął.

— Panie hrabio — rzekł rozwijając papier — oto jest mój list rekomendacyjny do poselstwa naszego i do konsulów. Widzisz pan jak silnie przemawiają za mną. Jesteśmy o mil kilka od jednego z reprezentantów mojego monarchy: odezwę się do niego i wyjadę kiedy zechcę i jak zechcę. Jeśli się targuję z wami, to z dobrej woli mojej, aby na biedne moje dziecię ukochane

nikt nie śmiał narzekać.

Dwaj hrabiowie spojrzeli po sobie. Sylwan na dany przez ojca znak, wyszedł do drugiego pokoju.

— Mów pan, mów, a żywo! ile chcesz za hrabstwo swoje, ile za doznany zawód, ile za koszta starań i wesela: dam co będę mógł; zapłacę, panie hrabio, zapłacę.

— Straty moje są ogromne! — zawołał hrabia.

— Wszystko się porachować daje.

— Sylwan na tę podróż nieszczęsną kilka tysięcy dukatów puścił.

Baron ramionami ruszył, widząc, że do końca nie dojdą: tupnął nogą zniecierpliwiony i rzekł:

— Mów pan ile chcesz, żebyś nas wypuścił? Mów, ile chcesz?

Hrabia nie robiąc już ceremonji, namyślał się tylko.

Z ujmą było dla niego zażądać zawiele, i ustąpić, obawiał się stracić znowu, jeśliby baron wyżej taksował swój okup: wielka ogarniała go niepewność.

— Panie baronie — rzekł czulej, chcąc inaczej zakończyć — czyżbyśmy tak, my, my, których dzieci połączyły się najświętszym węzłem, mówić z sobą powinni?

Hormeyer ruszył ramionami.

— A! srogo i ciężko mnie pan sądzisz — dodał hrabia — zniósłem od niego i przebaczam rozranionemu ojcowskiemu sercu, czego bym nie zniósł i nie przebaczył nikomu. Podajmy sobie dłonie.

Baron ukłonił się, ale cofnął rękę.

— Nie godzien jestem tego zaszczytu — rzekł sztydersko.

— Jaby'm powinien się zalić i gniewać, nie pan — mówił hrabia — opamiętaj się pan, rozstańmy się w zgodzie.

— Mówmy o rzeczy — przerwał baron zniecierpliwiony.

— Za kogóż mnie pan masz? — wykrzyknął Dendera — za przekupnia co wszystkim frymarczy? Widzisz sam straty i zawody, staraj się je nagrodzić. Ja nic nie wymagam nad to, co *święte* i *sprawiedliwe*.

Hormeyer śmiał się przykro i boleśnie: dobył z kieszeni surduta przygotowany pęczek papierów, i w milczeniu oddał go hrabiemu, który przyjmując nie spojrział nań. Listy do posła i konsulów poskutkowały widocznie.

W jednym mgnieniu oka na głos dzwonka wbiegli służący barona, przyszła uradowana Ewelina, a ojciec ujawszy ją pod rękę, w milczeniu, nikomu nie kiwnąwszy głową, poprowadził ją do powozu.

Sylwan spoglądał na ojca, który dał mu znak, żeby milczał. Poszli za odjeżdżającymi aż do ganku, nie mówiąc słowa: powozy już były gotowe. Baron posadził córkę, sam usiadł obok niej, i konie ruszyły z dziedzińca Denderowskiego pałacu.

Wacława nie było w domu, gdy Cesia, która teraz coraz częściej Palnik odwiedzała, nadjechała wieczorem już do Frani. We drzwiach dowiedziawszy się, że nie zastała brata, jakby temu rada była, pobiegła do izdebki, w której zwykle, dawne przypominając czasy, siadywała Wacławowa z Brzozosią. Ale na ten raz i ciwunówniej nie było także: poszła z rumiankiem do blizkiej chaty leczyć człowieka, który uparcie od dwóch dni udawał zdrowego, a po którego twarzy Brzozosia domyślała się choroby.

Dwie panie znalazły się więc po raz pierwszy w życiu same jedne, a dla Frani byłto kłopot niemały: instynktowo bowiem obawiała się Cesi i nie wiedziała jak się z nią obchodzić. Cesia starała się o ile możliwości spoufalić ją z sobą, przyciągnąć, by zajrzeć w to niewinne serce, którego czystości nie wierzyła.

Zręcznie więc korzystając z szczęśliwego trafu, hrabianka tak się zrobiła na ten raz łatwą, miłą, grzeczną, serdeczną, a tak jakoś smutną, że Franię ując potrafiła. Rozmowa odrazu stała się sióstr rozmową, i Cesia wywołując spowiedź, na pozór najszczerzej sama się wywnętrzać zaczęła. Malowała Frani swoje życie, zawody których doznała, czczość tego świata w którym żyła: chwyciła ją za serce łzami, które rozdrażnienie

i egoizm na rozkazy wywoływały.

— Jakaś ty szczęśliwa — mówiła Frani hrabianka — jak ci tu dobrze! Aleś ty tego warta moja droga, i tobie nawet zazdrościć nie można.

— A! proszę cię — odpowiedziała żona Wacława — nie mów mi tego: czuję, żem na to nie zasłużyła wcale, co mi Bóg dał z łaski swojej, i powiem ci szczerze, że mnie moje szczęście przestrasza.

— Każde szczęście straszne! — dodała Cesia — w cierpieniu spodziewamy się ulgi, w szczęściu bać się musimy niespodzianych ciosów! A! życie ludzkie nie do zazdrości: każdy ma w swoim kielichu kroplę goryczy, która prędzej czy później usta jego dotknąć musi.

— Święta to prawda — odpowiedziała Frania. — Czasem wśród tego spokoju, którego używam, jak błysk przebiega mnie strach niewytłumaczony, i tulę się pod skrzydła Wacława.

Cesia uśmiechnęła się.

— A! daj Boże — rzekła powolnie — żeby cię zawsze równie troskliwie i czule skrzydła te otulały. Mężczyzni, mężczyzni, to ród zdrajców!

— O! i myśmy nie lepsze — przerwała Frania.

— Myśmy lepsze daleko — dodała Cesia — żadna z nas, choćby kochać nie mogła, nie potrafi tak nogą co przed chwilą było jej bóstwem; oni przestawszy kochać, nienawidzą, jak gdyby pomścić się chcieli na nas chwili słabości i chwili szczęścia.

— Zdaje mi się, że się uprzedzasz — zawołała Frania — różni są ludzie, ale tak ogólnie....

— Jak najogólniej, jak najogólniej o wszystkich to powiedzieć można, nie ma wyjątku!

— Pozwól na jeden — zawołała Frania.



— Na żaden pozwolić nie mogę! O! ty nie znasz mężczyzn, ty nie znasz... jego nawet! — dodała pochwie.

— Ja go nie znam! z podziwieniem wykrzyknęła Frania — a któż go zna lepiej odemnie?

— Ktoś! — tajemniczo szepnęła hrabianka. Chwilę milczały, a Cesia westchnęła.

— Znam go, bom się z nim wychowała, bom nań patrzyła od dzieciństwa, bo się nawet kochał we mnie.

— Wiem o tem — rzekła Frania zmieszana.

— Ale nie wiesz, ile w tej duszy, ile w tem sercu, tak na oko prostem i szczerem, niezbadanych tajemnic.

— Przestraszasz mnie.

— Radabym cię przestrzedz tylko i uzbroić.

Frani łzy się z oczu puściły, ale je otarła nieznamnie. Cesia zobaczyła je i udała, że nie widzi mówiąc dalej.

— Powiedz to sobie wcześniej, że Wacław zawsze cię kochać nie może.

— Gdy on przestanie, ja umrę — odezwała się Frania.

— On przestanie, ty przecierpisz i żyć będziesz: trochę ci smutniej będzie na świecie, trochę się rozczarujesz, wypłaczesz, i wyjdiesz z tej próby silniejszą.

— A! czyżto próba konieczna?

— Jeśli z kim, to z Wacławem — dodała Cesia. — Ja go znam dawniej i lepiej; łatwo się przywiązuje, ale ostyga prędko! Natura artystyczna, wrażliwa ale niestała.

Frانيا patrzyła ciekawie na ożywioną Cesię, która chodząc po pokoju, zdawała się odkrywać jej całą du-

sze i mówić z największą szczerotą.

— Nim pokochał ciebie, kochał się we mnie do szaleństwa — kończyła hrabianka. — O! zna go serce moje.

— Aleś ty była nielitościwą dla niego!

— Nie chciałam, by cierpiał nad siły: oszczędziłam jego i siebie. A też miłości w Warszawie?

— Jakie? — spytała Frania.

— Z Sylwanową.

— Proszę cię, cóż on winien temu?

— O! dla ciebie on zawsze niewinny! Po cóż przyrzekłszy, że bywać tam nie będzie, jeździł z baronem, grał jej na fortepianie? Gdyby nie Sylwan, rozmarzyłby się był i kto wie coby z tego wynikło. Sylwan go prawie gwałtem z Warszawy wyprawił.

Frانيا słuchała, patrzyła i serce się jej ścisnęło: nigdy jeszcze takiej nie doznała boleści, widzieć swój ideał odarty z szat białych, zepchnięty między tłum pospolitych ludzi. A! okropnie to dla serca, co jeszcze nie doznało zawodu, i ślepo, dziecinnie, głęboko wierzy w świętość uczuć serca i w niezachwianą ich stałość.

Obie zajęte tą rozmową, nie spostrzegły, nie posłyszały, jak wśród niej Wacław się zjawił na progu, stanął i mimowolnie wysłuchał słów Cesi. Twarz się jego zmieniła jak pod groźbą śmierci: zadrzał, a widząc łzy Frani, gniewem się wielkim zapalił.

— Pani! — rzekł nagle występując ku Cesi — cośmy ci zawinili, że struć chcesz i zniszczyć szczęście nasze, że siejesz niewiarę i niepokój pod dachem, którego nie znały?

Cesia cofnęła się poblądła i przerażona.

— Godziż się, pod pozorem przyjaźni przychodzić podpalać i zabijać? Nie dośćże jeszcze cierpiełem przez was i dla was? nie dość robiłem dla tych, którym nie nie winienem prócz pogardy?

— Panie Wacławie — przychodząc do siebie zawołała Cesia, usiłując inaczej obrócić rozmowę — jakże ty bierzesz to, com mówiła? to się nie godzi!

— Kuzynko, mam doświadczenie, nie mogę się omylić. Biedna Frania wzięłaby to może za serdeczną o los swój troskliwość; ja nadto cię znam, bym sobie to dał wmówić. Jakkolwiek niestały, pamięć mam dobrą.

— Przywykłam do tego — odezwała się gniew udając Cesia — że moje czynności są zawsze źle tłumaczone.

Wacław nie już nie odpowiadając, usiadł przy Frani cały wzruszony jeszcze; Cesia pochwyciła kapelusz i znikła. Nikt jej nie odprowadził do drzwi, nikt nie myślał przebłagać i zawrócić: zmieszana siadła do powozu, który na nią czekał i wróciła po Denderowa.

Były to jej ostatnie w Palniku odwiedziny.

Łzy Frani łatwo było osuszyć, a Wacław ukołysał przestraszoną, opowiadaniem szczerem, szczerzem jeszcze niż kiedy, całego życia swojego. A serce tak wierzyć pragnie i tak je łatwo przekonać o tem, czego pożąda! Przykra ta chwila miała ten dobry i szczęśliwy skutek, że Cesia już się nie ośmieliła więcej zbliżyć do Frani i Wacława: wszelkie stosunki pomiędzy Denderowem a Palnikiem ustały, i pokój niezmacony szczęśliwe gniazdko otoczył.

Skończmy nareszcie ten dramat już tak długi a tak smutny, jednym tylko jeszcze spojrzeniem na główne osoby naszej powieści. Domyśleć się łatwo skutków komedji odegranej z takim talentem: wywołać mogła oklaski chwilowe, ale nie oszukała nikogo. Napróżno silili się komedjanci: prędzej czy później maska z ich twarzy spaść musiała i odkryć zbladłe i zmęczone oblicze.

W lat kilka po opisanych wypadkach zmienił się do niepoznania Denderów, a ludzi co go zamieszkiwali, rozpieczętych po świecie szukać było potrzeba. Wystawne pałace, wspaniałe herby, murowane ogrodzenia, zaczynały już opadać z tynków, okna pozastawiane były deskami: ruina nigdzie może prędzej jak u nas nie dosięgająca dzieła rąk ludzkich, nachylała je do upadku. I klimat nasz i lud może dopomagają zniszczeniu, które się dokonywa z szybkością niepojętą. Jeden rok zaniedbania niszczy owoc pracy lat kilkunastu: mury opadają, gniją dachy, trawa porasta wszędzie, tysiące stworzeń zajmuje schronienie opuszczone, i wkrótce kupa gruzów tylko pozostaje po wspaniałych budowlach. Denderów jeszcze nie przyszedł był do tego stanu, ale już był na drodze ku niemu.

Widzieliśmy jak drobna na pozór okoliczność ostatni

cios zadała fortunie hrabiego; jak z nieszczęśliwych konkurów pana Słodkiewicza wyrosła nienawiść i to, co Zygmunt August zwał prześladowaniem. Połączyły się razem na zgubę jego w początku chęć zemsty, później chęć zysku. Nabywszy większość długów dosyć szczęśliwie, pan Słodkiewicz postrzegł się, obrachowawszy je wszystkie, że to co miało być bodajby ze stratą dokonaną zemstą, mogło się stać dlań szczęśliwą wcale spekulacją; a że grosz lubił i dla marnych jakichś przesądów wyrzekać się nabycia jego nie myślał, wziął się całą duszą do roboty.

Rozpoczął się proces, a że hrabia przeciw swemu prześladowcy innych środków użyć nie mógł, prócz starań o zwłoki, prócz zadawania mu nieformalności, a pan sędzia miał stosunki małe ale silne: interesa Denderowskie stanęły na najgorszym stopniu, i Zygmunt August ogłoszony został bankrutem. Trzymał się w początku przy majątku, sumą u barona pochwyconą opłacając wszystkie należności rządowe i unikając administracji, która go dobić mogła. Pomimo całej swojej zręczności, Dendera w interesach szedł drogą fałszywą, zawsze uderzając do urzędników na wysokich posadach, od których pozornie tylko zależało wszystko, Oddawał wizyty, dawał im wieczory, przyjmował, jedną ich: obiecywano mu uroczyście; a tymczasem Słodkiewicz, który pojechał bryczką i trafił do piszczyków, do kancelarji, do sekretarzów, niepostrzeżony swoje robił powoli. Okazywało się zawsze w końcu, że przyrzeczona panu hrabiemu czynność była niemożliwą, nielegalną, niepodobną. Wielkie pana sędziego związki wszędzie przez najniższych i niepostrzeżenie działając, dopinały celu, gdy tymczasem Dendera ze swoją kareta

i stosunkami nic na nie poradzić nie mógł.

Przyszło do tego, że Słodkiewicz dekret otrzymał, a następnie rozkaz do spełnienia go. Poczęto opisywać majątek, opisywano długo; zaskarżono opis, zrobiono go raz drugi: niestety! ogłoszono licytacją! Tymczasem administracja jako piorun spadła na głowę hrabiemu, który został zmuszony oddalić się do miasta, bo mieszkać mu już w Denderowie nie było wolno. Jak skoro wielki ten krok dokonany został, nie było ratunku; hrabia postrzegł to sam i usiłował tylko wyratować z powodzi co było można.

Wywieziono ruchomości, pozabierano kosztowne sprzęty, a resztką znaczenia hrabia wciąż obiecujący sobie jakiegoś niespodzianego od Opatrzności dźwignienia, odkładał licytacją, na którą ostrzyli zęby Słodkiewicz, a z nim cała tłuszcza podobnych ludzi, dzielących się zawczasu łupem po Denderach. Co kilka miesięcy odkładana, spełniła się przecież nareszcie sprzedaż z publicznego targu; ale ją hrabia zaskarżył i ponowić ją kazano.

Ostatecznie klucz Denderowski i dobra inne, oprócz mistycznych majątności w Galicji, posprzedawane zostały dość tanio. Główne fundusze z kilką wioskami wziął Słodkiewicz, parę wsi zahaczył Smoliński, a jedna dostała się Morągowskiemu. Wacław namówiony przez hrabiego żeby majątności te okupił, nie stanął do licytacji, obawiając się posądzenia o jakąś zмовę. Po spłaceniu wszystkich długów, zostało Denderom jeszcze do trzydziestu tysięcy rubli srebrnych na całą rodzinę i na długi żydowskie, prywatne lub nieposzukiwane. Było to mniej niż nic. Hrabia mówił o wyjeździe do Galicji, ale osiadłszy w miasteczku, codzień się wybiera-

jąc w tę podróż, codzień ją odkładając, nie doprowadził nigdy do skutku.

Myślicie że w upadku przestał grać swojej roli? — bardzo się mylicie, kochani czytelnicy: strój ten aktora, kto go raz wziął na siebie, do ciała przyrasta.

Hrabia zamieszkał w miasteczku w domu, który szczytkami swej dawnej wspaniałości umiał przystroić bardzo okazań i przybrał rolę *ofiary*.

Potrzeba go było słyszeć, jak swe nieszczęście ubierał! Upadek jego był wedle teorii Dendery dwóch przyczyn głównych skutkiem: jego nieposzlakowanej uczciwości i spisku ludzi, nienawidzących ostatniego potomka wielkiej i możnej rodziny\*).

— Upadłem — mówił hrabia codziennie gościom swoim — (choć to jest upadek tylko pozorny) dlatego, że nie chciałem użyć przeciwko nieprzyjaciółom moim środków, do jakich oni przeciw mnie się uciekli: — przekupstwa, zdrady, fałszu i upodlenia. To mnie pociesza, że niezapruszonem okiem w górę śmiało poglądać mogę.

W tę tożę udrapowany Zygmunt August codziennie występował, niemal co godzina nowe tworząc projekta dla odzyskania fortuny, która już przeszła w obce ręce. Podawał prośby wystawując się niewinną prześladowania ofiarą; pisał listy i manił się czekając próżno odpowiedzi.

Żona jego, której część jakaś majątności ocaloną została, ze wstydu porzuciła go zrazu nihy czasowo, ale już, jak się zdawało, nie miała powrócić. Cesia po-

---

\*) Historyczne.

została czas jakiś przy ojeu, mając nadzieję w miasteczku złapać kogoś na swe wdzięki, imię i dowcip; ale przy coraz nawet skromniejszych żądaniach, nikt a nikt się nie trafiał. Unoszono się nad jej dowcipem, wychowaniem, wdziękiem nawet, który zyskał na rozwinięciu, ale nie odważał się najgorętszy z wielbicieli obarczyć się żoną, tak straszliwie zrečzną i przebiegłą. Oświadczała się kilka razy sama mniej śmiałym, na próbę, ale i ci się cofnęli. Sądziła więc, że zmiana miejsca pomoże. Nie ma proroka, któremu kraj swój uwierzył, powiada francuzkie przysłowie: przeniosła się więc do matki, potem do babki. Tu po dość głośnej intrydze, poróżniwszy małżeństwo, już, już mając wyjść za rozwiedzionego męża, na dwa miesiące przed ślubem straciła go, i po śmierci jego znowu do ojca uciekać musiała. Nikt się już nie posunął do niej, a złośliwością pocieszać się musiała, szukając plam na ludziach i wskazując je, aby nie sama jedna wśród nich pstrą się wydawała.

Obawiano się jej jak ognia, i dość było ukazania się hrabianki, aby wszystkie rozmowy ustały, porzodziły się wszystkie czułe pary i twarze najobojetniejszym pokryły chłodem. Cesia grała rolę *Charitatis Romanae*: pielęgnowała ojca, czuwała nad nim, była ofiarą miłości dziecinnej, i w towarzystwie umiała niekiedy wcale niezłe wystąpić jako heroina przywiązana do ojca, gotowa dlań poświęcić życie, jak poświęciła przyszłość, los, świetne partje i t. p. Komedja jak widzicie, trwała do końca.

Sylwan w początkach trzymał się z ojcem, ale gdy się posprzeczałi o sumę daną wykupem od barona, której stary Dendera zwrócić synowi nie chciał, a syn



gwałtownie się dopominał, młody hrabia zerwał stosunki z Zygmuntem Augustem, osobne zajął mieszkanie, oddzielił się całkowicie. Hrabia nigdy o nim nie mówił (przed obcymi rozumie się) bez westchnienia.

— Nieszczęśliwy! — wołał — ożenienie to zgubiło go! Nie widać na nim rozpaczy, ale to właśnie najstraszniejsza! Wolałbym, żeby płakał i ręce łamał, niż gdy udaje obojętność i wesołość. Wszystko mu przebaczam, tak czuję nieszczęście jego! Nie słuchał mojej rady, *serce* go uniosło!

Sylwana ratowały stosunki z możnymi wielkich rodzin synami, w których towarzystwie dwuznaczne zajmował miejsce: poufałego przyjaciela i rezydenta. Grał z niemi, jadł, pił, mieszkał, zapożyczał się, a tonem trzymał na równi. Gra w ostatku stała się jego namiętnością, a po kilku latach prawie sposobem do życia. Wyjechał z resztką powozów, koni, sług, sprzętów i grosza do większego miasta, i tam zamieszkał otwierając dom kawalerski, ale na stopie bardzo wykwintnej. Codziennie zbierali się u niego tłumnie ludzie najróżniejszych stanów: próżniacy, zbijacze bruków, a czasem biedni niewolnicy namiętności do gry. Grano od południa do ranka na sześciu, czasem dziesięciu stolikach, a w ten sposób sam dochód z kart, które do służących nie należały, dom utrzymywał i na tę wystawę wystarczał.

Oprócz tego Sylwan grał szczęśliwie, ostrożnie, umiejętnie, i prawie zawsze wygrywał. Gra porobiła mu niezliczone stosunki: kogoż karty nie zbliżą i nie zrównają w obliczu zielonego stolika? Bywali u niego ludzie najbardziej wyszarzani i najgorszej sławy; ale obok nich kto chciał swobodnie wieczór przepędzić z cyga-

rem w ustach, bez fraka, napić się dobrze i najeść smacznie, ciągnął do Sylwana.

Z największym talentem młody hrabia utrzymywał się na tem ślizkiem stanowisku, które jeden tylko krok dzielił od szulerni. Pozostał hrabią i wielkim panem, obyczajem, tonem, sposobem życia, na który cudownie jakoś wystarczało: prawda, że niekiedy z młodych, bogatych, poprzyjaźniwszy się z niemi, z nieporównaną zręcznością korzystać umiał.

Zagadkowa ta egzystencja bez jutra wydawała się spokojnym portem: tak Sylwan wyuczył się jej i stał się panem położenia swego. Przyjmowano go we wszystkich domach, oddawano wizyty, chodzono na obiady i zapraszano; a że istotnie choć trochę dumny i sztyderski, bytło człowiek dobrego wychowania i zręczny: w towarzystwie często był pożądanym. Dawne nawet owe szermierstwa i popisy, które w Deńderowie z ojcem odbywał, stając jako reprezentant postępu przeciw przedstawicielowi starego świata, przydały się w nowem życiu. Sylwan z miną, obyczajami, próżniactwem i nalogami zbytku pańskimi, w ustach był demokratą ogromnym. Na tę wędkę wielu się wziąć mogło, ale wara! ktoby to chciał zaraz do życia zastosować. Sylwan pracował tylko nad teorią, praktykę swojej doktryny zostawiał innym, ale tych innych znać nie chciał i nie żył z niemi wcale.

Tak powoli wyrobiwszy sobie stan właściwy, nieokreślony, nie objęty żadną klasyfikacją, młody hrabia żył dosyć znośnie, a nawet sądząc z pozoru, szczęśliwie.

Raz tylko jeździł w ciągu tych lat do Galicji, ale z pewnością wiedzieć nie było można z czem powrócił; wnoszono jednak z tego, że się ani żenił, ani starać

myślał, iż dotąd za żonatego się uważał.

Marszałek Farurej utrzymywał, może przez złość ku Denderom, że przez Wiedeń przejeżdżając, widział hrabinę Ewelinę w łoży teatru, i dawał się z tem słyszeć, że rodzina dawnego jej kochanka, ubezpieczona teraz jej zamążpójściem od ożenienia, którego się obawiała, nie stawiała przeszkód stosunkom jej z księciem. Szeptano, że hrabina jakąś tam pensją płaciła mężowi, ale to być musiały potwarze, a lepiej o tem dowiedzieć się nie mogliśmy. Baron Hormeyer bardzo był dobrze położony u dworu, i miał sobie powierzoną missją do Hiszpanii, dla której bawił po większej części w Madrycie.

Pan Słodkiewicz nabywszy obdarty już i zaadministrowany Denderów, wszedł w kożuszkę do pałacu rozpatrując się po salach, kiwając głową na znaki pozostałe po obrazach, bibliotece i lustrach. Co ja to z tem będę robił? — mówił do siebie. — Jużciż tu mieszkać nie mogę. Stodoła! a po kiego licha mrozić się tu będę? A mur jeszcze porządny!

Myślał, myślał i pałac żydowi najął na fabrykę sukienną: oficyna poszła w dodatku. Trochę to poprzerabiano, powstawiano warstаты, pozamurowywano okna i zagospodarowano stosownie.

Ale że ani nowy dziedzic, ani arendujący poprawić nie myśleli, póki im za kołnierz nie ciekło, wkrótce słomiane łaty zjawily się na dachu, w oknach papier i łuczywo, a w dziedzińcu, że był wielki, żyd posiał kapustę i cebulę.

Nabywszy nową majątność, założywszy co miał w banku, pan Słodkiewicz pomyślał o wyborze dozgonnej towarzyszki życia. Zamierzał sobie być protoplastą

rodu, i na złość Smolińskiemu, który hrabiankę uważał za rzecz niedostępną, wyszukał sobie księżniczki.

Tak jest: ni mniej, ni więcej.

Obok w małej wiosce, żył stary już z kniaziów tatarskich pochodzący szlachcic, którego papiery dowodziły, że miał prawo do mitry, ale jej nie używał, bo za ciężką była na jego głowę. Był on posiadaczem czterech chłopów, i tak dalece podupadł, że pan sędzia zamierzając się żenić z jego córką, i sam wywody te popierać musiał, i wyprawę kupował. Wziął hożą dziewczuchę, choć z tytułem, ale taką jak sam gospodynę, bo trafiło się u owych książąt, że panna sama wieprzom jeść nosiła. Gospodarzyli zawzięcie i szło im bardzo szczęśliwie, tylko miłości pana Piotra, w które się puścił znów w rok po ślubie, zatruwały trochę spokój domowy i chmurami okrywały niebo małżeńskie. Pani była zazdrosna, pan niebardzo na to zważał: kłócili się, godzili i dźwigali ciężar życia, wzdychając oboje.

Smoliński wyszedł także na obywatela, i kupiwszy, wieś, inaczej nie mówił o hrabi jak: — stary mój przyjaciel Dendera.

Marszałek Farurej ożenił się z piękną ową Haliną i wkrótce potem owdowiawszy, wyjechał do Paryża, którego loretki zostawiły w sercu jego i kieszeni niezatarte pamiątki. Po drodze próbowała go łapać Cesia, jakby nie pamiętając i wspaniale przebacząc winy przeszłości; ale stary zalotnik drugi raz nie dał się pociągnąć: uklonił się, uśmiechnął i pojechał dalej.

Naostatek pozostaje nam jeszcze mówić o Wacławie; ale cóż o nim i o Frani powiemy? Chyba, że byli szczęśliwi, że mieli wiele dzieci, że je Brzozosia

kolysała gderząc, gdy im nie dawano jeść ile chciały; że się starzeją nie udając szczęścia w spokoju i zgodzie, którego i wam życzymy, jeśli komedji grać nie będziecie.

*Połonka*, d. 18. grudnia 1854 r.

K O N I E C.



INSTYTUT  
BADAŃ I PRACY PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat N. 72  
00-330 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42









1681

F

T. 3-4